

60

groszy

Tygodnik Polski

№ 46

25. XII. 27



Z mojej kariery ...

Wywiad XLI

Zofja Casanova - Lutosławska

Poetka i powieściopisarka hiszpańska, pani Zofja Casanova, Lutosławska przybyła w tych dniach do Polski, gdzie zamierza spędzić dłuższy okres czasu.

Podjęmowana uroczyście przez Pen. Club, autorka tłumaczonej na język polski powieści „Doktor Wolski”, świetnie zna Polskę i Polaków.

Wierna tradycjom hiszpańskim podróżuje z przenośnym ołtarzykiem saragosskiej Madonny Del Pilar, który zawiesiła w pokoju, urządzonym w stylu hiszpańskim i ozdobionym obrazami mistrzów półwyspu Pirenejskiego, Goy'i i Velasqueza.

Przyjaciółka monarchów i monarchów hiszpańskich, popularna ta poetka, podejmowana była na dworze madryckim z honorami, jakie tylko rycerscy Hiszpanie oddać potrafią wielkiej poetce.

Dowiedział się dwór o jej poezjach, gdy miała lat dwadzieścia i wtedy nastąpiła jej prezentacja „a la cour”.

Wspomnienie ciekawego epizodu ze swego życia, które nam opowiedziała poetka dotyczy właśnie obyczajów dworu monarszego.

— Jedno z literackich towarzystw w Madrycie rozpiło w swoim czasie konkurs na poemat pod tytułem „El Trabajo” (Praca). Małą byłam wówczas dziewczynką. Poemat, który napisałam nie tyle poddyktowała mi głowa, ile serce. Stworzyłam kilkanaście strof, które odczytałam mym znajomym Młodociana ta poezja spodobała im się bardzo, więc słuch o tym utworze szybko rozszedł się wśród innych znajomych, którzy z kolei donieśli o nim literatom, ogniskującym się przy lubiącym poezje królu.

Wiść do króla o moim utworze dotarła.

Zawezwał mnie na dwór i tam przyjął osobiście bez świadków.

— Słyszałem, że napisała pani ładny poemat, o którym szeroko mówią w Madrycie — odezwał się Alfons XII, ojciec obecnie panującego monarchy — proszę mi zrecytować parę strof...



Zofja Casanova-Lutosławska
utalentowana literatka.

Ontęmielona a zarazem uradowana, poczęłam deklamować poemat. Podobał się widocznie królowi, gdyż skoro tylko ukończyłam deklamację, odezwał się:

— Niechże pan będzie tak grzeczna i powtórzy raz jeszcze.

Oczywista, iż prośba króla, była dla mnie rozkazem, więc znowu zaczęłam deklamować, gdy wtem... z brzękiem ostróg i palasza wszedł „el Grande Guardie” — pierwszy adjutant Jego Królewskiej Mości i zameldował:

— Wasza Królewska Mość. Jego Excelencja, premier.

Król, nie przestając mnie słuchać, odpowiedział adjutantowi:

— Dobrze, niech zaczeka...

„El guardie” skłonił się i wyszedł.

Skończyłam deklamację, lecz król Alfons XII polecił jeszcze raz powtórzyć.

Mówiłam wiersze, a obok, w sali recepcyjnej czekał (czy cierpliwie?) pierwszy w państwie mąż po królu, prezydent ministrów, Canovas del Castillo.

Znów wszedł adjutant.

— Zaraz idę — odezwał się król i dopiero, gdy skończyłam, pożegnał się ze mną i poszedł załatwić z pierwszym ministrem spraw państwowych.

To jest dowodem tradycji królewskiego palacu madryckiego. Dowodzi to poczucia piękna, na które wrażliwi są jego mieszkańcy, oddając hołd moim poetyckim poczynaniom.

— Jakiem jeszcze innem wspomnieniem mogłaby się pani z nami podzielić?

— Czemu nie. Oto moment, na przykład, który zawdzięcam mojej popularności w Hiszpanii.

Więźniowie wysłali do mnie adres, bym się wstawiła u dworu o amnestję.

Było to w roku 1918, prawie natychmiast po zawieszeniu broni. Zgodziłam się to uczynić i w następstwie napisałam artykuł w wychodzącym w Madrycie piśmie „A. B. C.”, domagając się amnestji.

Premjerem wówczas był Maura. Amnestja została wyjednaną u króla. Jestem głęboko przekonana, że i bez mojej interwencji amnestja również byłoby ogłoszona.

To samo nastąpiło po raz wtóry w niedawnym czasie.

Znów dostałam adres więźniów z tą samą prośbą.

Sprawiło mi to wielką przyjemność, że ci odcięci od świata ludzie pamiętają o mnie i do tego stopnia wierzą we mnie.

— Czy można wiedzieć, co pani właściwie skłoniło do pisania?

— Sentyment, uczucie, które po hiszpańsku zwiemy, „morriña” — tęsknota. Za czym?... myśl goni za czymś nieograniczonym... dalekim...

M. G.

Obyczaje świąteczne

Dzień Narodzin Chrystusa Pana obchodzony jest na całym świecie bardzo uroczyście. Jest to jednocześnie dzień Godów, czyli zakończenie starego i rozpoczęcie nowego roku, w wiekach średnich bowiem Nowy Rok rozpoczynał się w dn. 24 grudnia, stąd nazwa Gody, od starosłowiańskiego słowa „God”, oznaczającego rok.

Gallowie nazwali to święto wyrazem „Noel”, pochodzącym jak jedni twierdzą, od „natalis”, a według innej wersji od „novus” (dzień urodzin lub nowy). Najprawdopodobniej jednak, wyraz ten jest pochodzenia bretońskiego i był okrzykiem radości.

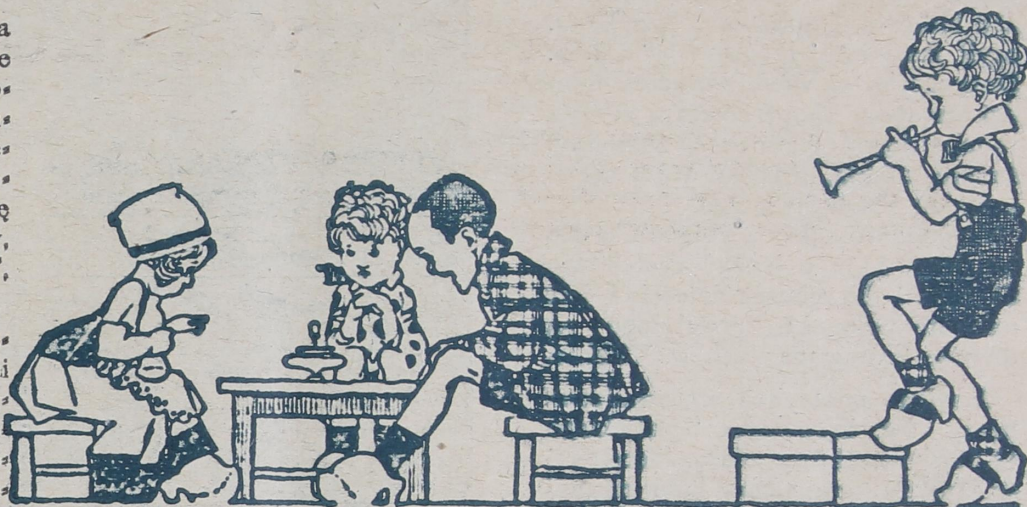
W Polsce to wielkie święto narodzin Pańskich połączone jest z całym szeregiem obchodów, które sięgają zamierzchłych wieków, a niektóre z nich nawet czasów przedchrześcijańskich.

Jednym z tych obchodów, związanych ściśle z uroczystościami Narodzin Pańskich jest „Gwiazdka”, obchodzona na pamiątkę gwiazdy betleemskiej, która ukazała się nad ubogą stajenką, gdzie narodził się Zbawiciel.

W Krakowskiem po wsiach i miasteczkach chłopcy obnoszą od Trzech Króli począwszy do Oczyszczenia N. P. Marii na długim kiju gwiazdę dużą z kolorowego papieru, napuszczonego dla większej przejrzystości tłuszczem i oświeconą ztytu kilkoma świeczkami. Wszedłszy do mieszkania, zaczynają kręcić tę gwiazdę, śpiewając pieśni o Narodzeniu Chrystusa, czyli t. zw. Kolendy, za co otrzymują dary.

W zachodniej części Województwa Poznańskiego chodzi od domu do domu t. zw. „Gwiazdor”, przebrany, z różgą i gwiazdą. Postrach to dla dzieci, wypytuje ich bowiem czy są grzeczne, czy umieją pascierz. W południowej zaś części Województwa chodzi stary Józef. Jednego i drugiego przedstawiają młodzi ludzie, przebrani za starców z torbą, różgą i dzwonkiem. W innych stronach kraju dorośli chłopcy, przebrawszy jednego ze swego grona na niedźwiedzia, tura, kozę lub zórawia (1), chodzą od domu do domu, śpiewając kolendy.

O ciekawym zwyczaju, który w niektórych miejscowościach Francji



przetrwał aż poza XV wiek, znajdujemy ślad w archiwach katedralnych w Sens.

Jest to pochodł osła, bachiczne igrzysko podobne do rzymskich Saturnali. Zazarcie zwalczały ten obrządek wyższe władze kościelne. Składało się na to masę drastycznych obyczajów wigilijnych we w końcu surową bullę papieża Innocentego III-go.

Jednym z najbardziej tradycyjnych obyczajów religijnych we Francji, którego u nas w Polsce nie znaleźmy nigdy, jest palenie na kominku kłody wigilijnej (la bûche de Noel), pochodzącej z kasztana lub drzewa oliwkowego, jako najwłaściwszych dla utrzymania ciepła przez całe 4 dni.

Obyczaj ten pochodzi, jak przypuszczają, od starodawnego przepisu pogańskiego, przygotowania raz

w ciągu roku zapasu popiołu na wypadek żałoby domowej.

Charakterystycznym jest, iż w południowej Francji, gdzie wino lub oliwa stanowią podstawowe bogactwo uprawy w tej okolicy, kłody polewa się starym winem lub oliwą, poczem najstarszy z rodu wspólnie z najmłodszym wstawiają drzewo do kominka.

W Burgundji wydrąża się w kłodzie schowek, celem ukrycia najroźniejszych łakoci. Po podobnym „nafaszerowaniu” tej kłody, otwór zamyka się drzewem, a dwoje dzieci, które z niecierpliwością oczekują tylko wezwania w drugiej izbie, wchodzi radośnie i wała kijami po kłodzie, aż zatyczka nie wyskoczy i nie wysypią się na zebranych łakocie.

Na Gody czyli na Nowy Rok po dług staropolskiego zwyczaju ugażdżano (godzono) także czeladź domową, był na to od wieków przeznaczony dzień Św. Szczepana, czyli drugi dzień Bożego Narodzenia, który według dawnej rachuby był początkiem Nowego Roku.

Zwyczaje noworocznych uroczystości rzymskich przeszły do wszystkich ludów w Europie. W Polsce, gdy nadeszły Gody, nie było końca najrozmaitszym zabawom, powinszowaniom, podarkom, przebieraniu się za Żydów, cyganów, niedźwiedzi, kozy, tury (późniejsze maskarady) chodzeniu po domach ze śpiewaniem kolend z żywym wilkiem, lub w braku z chłopcem, przybranym w wilczą skórę (późniejsze kuligi).

Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli świętowano wieczory, które dotąd lud w wielu okolicach nazywa „świętami wieczorami”. W wieczory te śpiewano kolędy o Naro-



Tradycyjna choinka zdobi każdy dom w Polsce.

strzegamy u niemowląt, czytamy najwyższą ekstazę Cherubina nad objawieniem Prawdy.

Takich aniołów, dzieci-Cherubinów, nieodłącznie stawili artyści obok wyobrażenia Dzieciątka Bożego, jakgdyby przypuszczając, iż anioł skrzydlaty o formach słusznego młodzieńca zanadto uroczyście przeciwstawiałby się niemowlęcym kształtom Jezusa, co jeszcze nie wyszedł z kolebki.

Bóg-Człowiek — więc i Jemu należało dać rówieśników, skoro jest jeszcze dzieciątkiem, towarzyszyć zabaw, skoro ludzkim żył życiem.

Zabawa, wesele — stąd też powstało wyobrażenie o wdzięcznych korowodach aniołów, grających, śpiewających lub pływających.

Najwięksi purytanie, Anglicy, uznają, iż przy obchodzie na przykład Bożego Narodzenia, tego najradosniejszego święta, może być miejsce dla objawów wdzięcznego wesela.



Lucca della Roma: Anieli-muzykanci.

Starodawni zaś mistrzowie sztuki bynajmniej nie kierowali się purytańskimi zasadami i z Piśma Świętego nawet czerpali niekiedy lekko pojęte tematy. A że było powiedziane w Piśmie Świętem, iż „aniołowie się radują” z Narodzin Syna Bożego, postavili sobie pytanie, jak i dla czego mogły te czyste duchy okazać swą radość.

A wokół nich, na placach i drogach w słońcu skapanej Umbrji lub Toskanji cóż czyniła dziatwa, gdy rozbrzmiewało weselem? Śpiewała, tańczyła. Tańczyła, trzymając się za ręce, zwawe farandole, śpiewała, zlewając głosy w zespole chóralnym,



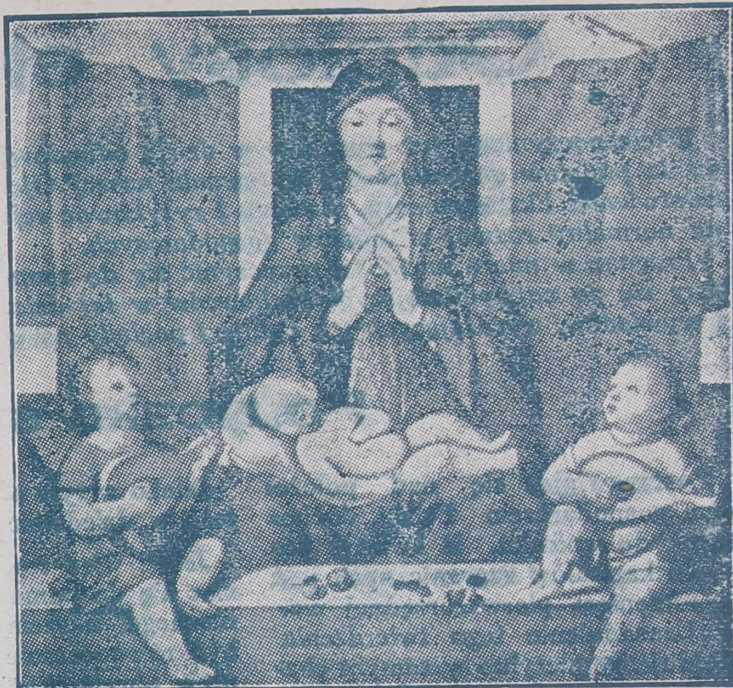
Kapela anielska (z muzeum w Antwerpji).



A. Dürer: Święta Rodzina przy odpoczynku.



Chór Anielski (muzeum w Antwerpii).



Aloise Vivarini: Madonna.

któremu przygrywano na violach i lutniach. Tak samo więc i anieli, na świetlanych łakach Raju musieli okazywać swe wesele.

Skoro mowa o muzyce, nie należy zapominać, iż sztuka ta jest jedyną, którą człowiek ośmielił się wprowadzić do niebios. Trudno wyobrazić sobie aniołów w roli budowniczych, w roli malarzów lub ceramików. Trudno sobie na przykład wyobrazić, iżby anieli zabiegali o wystawę sztuki.

ki, ileżto razy, natomiast, spotykaliśmy obraz koncertu lub chóru anielskiego. Nie gra tu nawet roli instrument muzyczny, zastosowany jedynie do danego okresu czasu.

W ten sposób, dzięki artystom, anioł przestał być w naszej wyobraźni wysłannikiem Bożym, tem mniej go widzimy w roli bojownika lub marzyciela, zatopionego w kontemplacji. Wyraz „anioł” budzi w nas mimowoli pojęcie o młodzień-

czej istocie, promieniującej szczęściem i radością, mimo, iż spokój jest istotnym podłożem jego umiarkowanego charakteru. Nie płacze, ale i nie śmieje się. Uśmiech i wyraz ekstazy dostatecznie malują nam radosne jego usposobienie.

Bo nie mogłoby być inaczej, skoro istota ta jest uosobieniem wyższej natury, przepojonej godnością, jest ideałem nadczłowieka.



Holman Hunt: Ucieczka świętej Rodziny z Egiptu.

Odgłosy ekonomiczne

Wiele poczyniono już wysiłków w dziele odbudowy państwowości Polski, sprawa atoli silnego ugruntowania podstaw gospodarczego bytowania naszej Ojczyzny przez długi czas nie znajdowała odpowiedniego załatwienia. Eksperymenty, wahania i ryzykowne reformy w dziedzinie finansów zgubny wpływ wywierały na normalny rozwój stosunków gospodarczych.

Pragnąc w miarę możliwości przyczynić się do spopularyzowania tych interesujących zagadnień, zwróciliśmy się do najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie, którzy łaskawie zaofiarowali serję artykułów i wywiadów, wyrażających ich opinię i poglądy na sprawy finansowe i gospodarcze Rzeczypospolitej.

Pożyczka stabilizacyjna

Zastanawiając się nad położeniem gospodarczym Polski, dochodzimy do wniosku, iż kwestja dopływu kapitałów zagranicznych jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Uzasadnienie tego twierdzenia znajdujemy nie tylko w samym charakterze gospodarczym kraju, na który składają się przede wszystkim bogactwa naturalne, pozostające na niedość wysokim stopniu rozwoju, ale i w pewnych względach politycznych, a przede wszystkim w powszechnym dziś zjawisku, iż potęga mocarstwowa krajów znajduje oparcie na silnym gruncie ekonomicznym. Nie może tu ująć naszej uwagi, iż Polska leżąc pomiędzy dwoma sąsiadami — Niemcami i Rosją, zawsze będzie musiała się liczyć z poważnymi trudnościami, a Niemcy już zdążyły przy wydatnej pomocy kapitałów zagranicznych, które po pożyczce stabilizacyjnej, opartej na planie Dawesa, obficie napłynęły do kraju, poczynić ogromne postępy w dziedzinie gospodarczej.

Twierdzenie, iż możnaby oprzeć rozwój gospodarczy kraju na zasadach samowystarczalności, t. j. przy pomocy własnych zasobów, należy do dziedziny teorii. Nie mówiąc już o szeregu błędów przeciw oszczędności i rozumnej gospodarce, które popełniliśmy w ubiegłych latach, nie możemy zapominać, iż ściśle uzależnieni jesteśmy od całokształtu gospodarki europejskiej i światowej, która do dziś dnia nie może przeboleć skutków wojny światowej.

Czy mamy prawo wobec tego luźnić się ambicją, iż sami damy sobie radę z odbudową gospodarczą kraju, czy mamy prawo osłabiać tempo tych poczyniń, gdy porównamy je z szybkością rozwoju w innych krajach?

Opóźnienie naszego rozwoju gospodarczego może nas pozostawić

daleko w tyle poza innemi państwami i w dziedzinie polityki.

Jeżeli więc zmuszeni jesteśmy uciec się do pomocy kapitału zagranicznego, naszym dążeniem winno być równocześnie staranie, by dopływ obcego kapitału pociągnął za sobą możliwie najniższe koszty.

Pożyczka stabilizacyjna, odpowiadając zasadniczym poglądom za-



Dr. FELIKS MŁYNARSKI
Wice-Prezes Banku Polskiego.

granicznych, a zwłaszcza anglosaskich finansistów — jest bowiem operacją międzynarodową i opiera się na planie, gwarantującym ciągłość i racjonalność polityki gospodarczej — stała się punktem zwrotnym w naszym położeniu na rynku światowym, stwarzając jednocześnie możliwość do uzyskania dalszych pożyczek.

Niezbędnym warunkiem uzyskania pożyczki stabilizacyjnej 20 milionów dolarów kredytu dla Banku Polskiego było przyjęcie przez Polskę programu stabilizacyjnego, który w pierwszym rządzie wprowadził u nas reformę walutową przez prawną stabilizację złotego. Bez takiej reformy nie mogło być mowy o normalnym dopływie kapitałów zagranicznych, a jest to również krok decydujący dla przyspieszenia rozwoju oszczędności, czyli, inaczej mówiąc, kapitalizacji wewnętrznej.

Najwięcej zainteresowania w całokształcie tego programu wywołało ustanowienie t. zw. „advisera“, czyli doradcy w sprawach, podpadających pod ogólny plan.

Ujęcie roli tego „advisera“ bynajmniej nie uwłacza naszej niezawisłości, a ustanowienie tej funkcji i powierzenie jej Amerykaninowi dowodzi uniezależnienia się Ameryki od tradycyjnego pośrednictwa Londynu.

Stanowisko, które zajęła Ameryka w sprawie pożyczki stabilizacyjnej, i ostateczny wynik pertraktacji pozwala nam twierdzić, iż Polska stała się w oczach tamtejszych sfer gospodarczych gruntem dla przyszłych inwestycji, tem samem podnosząc rolę naszego kraju w dziele odbudowy Europy.

Tło polityczne naszej pożyczki stabilizacyjnej równoważy z pewnością ofiary i ustępstwa, które poczyniliśmy w planie i w samym kontrakcie.

Od nas dzisiaj zależy ustalenie tych zdobyczy na rynku międzynarodowym i wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji praktycznych. Pożyczka stabilizacyjna stworzyła nam nowe horyzonty, zrealizowanie zaś dalszych korzyści zależy od naszej polityki i umiejętności stosowania wypróbowanych metod działania.

Feliks Młynarski.

Wywiad z p. Charles S. Dewey

Koncepcja nadzoru nad wykonaniem planu stabilizacyjnego i zużyciem pożyczki, będąca jednym z wyników prywatnego układu pomiędzy rządem a bankierami zagranicznymi wywołała w swoim czasie różnorodne komentarze ze strony opinii publicznej. Nie wdawaliśmy się do tychczas w bliższe rozważania tej sprawy, woleliśmy raczej doczekać się sposobności osobistej rozmowy z p. Charles Dewey, który, jak wiadomo, od kilku tygodni piastuje urząd tak zwanego doradcy przy Rządzie Polskim.

— Jaki jest zakres działalności doradcy i czy funkcje te nie łączą się w jakimkolwiek stopniu ze sprawowaniem ogólnej kontroli? — zapytaliśmy na wstępie tej niezwykle interesującej rozmowy.

— Zakres mojej działalności — objaśnia nam p. Dewey — jest ściśle przewidziany w planie stabilizacyjnym. Dotyczy on spraw Banku Polskiego, do którego wszedłem, jako członek Rady, nie korzystając bynajmniej z wyższych uprawnień od polskich moich kolegów. Jestem jedynie doradcą i występuję w pierwszym rzędzie w roli łącznika pomiędzy rynkiem pieniężnym zagranicznym a Bankiem Polskim, przyczem rynkiem tym może być równie dobrze New York, jak Londyn lub Amsterdam. Atrybucje te przewidywały poza tym utrzymanie łączności pomiędzy zagranicznymi bankami emisyjnymi a Bankiem Polskim i wreszcie pomiędzy Skarbem, bankami emisyjnymi i Bankiem Polskim.

— Czy nie może nam pan wyjaśnić — zapytujemy w dalszym ciągu — co wpłynęło na stworzenie nowej koncepcji wzajemnego doradzania i to w podobnej formie?

— Stan przedwojenny stosunków gospodarczych między narodami nie znał tak wielkiego zbliżenia, jakie obserwujemy dzisiaj. Powolniejsze było tempo życia, wzajemna wymiana handlowa i finansowa nie przejawiała się w tak jaskrawych formach. Każdy kraj nieomal żył własnym życiem gospodarczym i pogorszenie stanu rzeczy u najbliższego chociażby sąsiada nie wpływało tak ujemnie na dalsze kształtowanie się własnego położenia. Zbliżenie obecne wywołała wojna światowa, co zwłaszcza odbiło się na nawiązaniu ścisłego kontaktu pomiędzy Ameryką a kontynentem europejskim.

Wojna była przyczyną wzmożenia się eksportu z Ameryki i udziału Stanów w życiu gospodarczym wielu państw europejskich, występując w roli ich wierzyciela. W wyniku rozrachunków międzypaństwowych powstał spadek walut i jednocześnie z tem inflacja, wobec czego banki emisyjne całego świata zrzeszyły poniekąd swoje poczynania, uważając się za jedną wspólną rodzinę, która musiała wspierać każdego ze swych członków, skoro tylko zmogła go choroba, a tem samem mógł się stać ciężarem dla rodziny. Postawienie na nogi tego chorego pozwala powrócić do normalnych warunków pracy. Okoliczności te wywołały w dalszej konsekwencji ko-

przechodziła w swoim czasie identyczną fazę rozwoju gospodarczego, który obserwujemy w Polsce. Szybki rozwój gospodarczy wymaga wielkiego doświadczenia ze strony odpowiednich sfer i analogia, o której wspomniałem stała się jedną z przyczyn, by doradcą w Polsce, był właśnie Amerykanin.

— Czy interesował się pan już przedtem Polską? — zapytujemy.

— Nie. Nie ukrywam bynajmniej, iż Polski wcale nie znałem, lecz okoliczność ta pozwala mi może być bardziej obiektywnym. Oddawna interesowałem się finansami i rada, moja zawsze może być uważana jako obiektywna, choć zwrócić się o nie ludzie, daleko lepiej znający własny grunt.

— Czy uważa pan, iż pobyt jego w Polsce w charakterze doradcy wpłynie dodatnio na dopływ kapitałów obcych?

— Bezwzględnie. Obiektywizm, który zawsze okaże, dodatnio wpłynie na ewentualne nawiązanie kontaktów w sprawie nowych pożyczek. Nie jestem wszakże zdania, iżby należało śpieszyć się z zaciąganiem nowych zobowiązań. Pożyczka stabilizacyjna przeznaczona 16 milionów dolarów na cele inwestycyjne, a zbyt szybki przypływ kapitałów może się okazać tak samo szkodliwym, jak jego brak. Przypomina to głodnego człowieka, który mając możliwość dostąpienia do suto zastawionego stołu, zbyt żarłocznie rzuciłby się do spożycia potraw i nie będąc w stanie ich przetrawić, zapadłby na obłąkną chorobę.

— Czy widzi pan jednak — zapytujemy z kolei — jaki charakter nosić będzie dalszy dopływ kapitału i na jakie cele będzie on zużyty. Czy, na przykład, nie będą to pożyczki, skierowane na zaspokojenie potrzeb budownictwa?

— Aby tylko nie w tym kierunku — żywo zaprzecza p. Dewey. — Stanowczo odradzałbym pożyczek budowlanych, gdyż stwarzają one martwy, powolnie rentujący się i czysto lokalny kapitał. Dopływ obcego kapitału o tyle tylko jest pożyteczny, o ile stwarza przyrost bogactwa, który ze swej strony stwarza nowy kapitał. Zarówno dający, jak i odbierający pożyczkę przedewszystkiem myśleć musi o pozytywnym zwiększeniu bilansu handlowego, który wywołałaby pożyczka. Pożyczka musi przynieść wy-



Success rarely is the result of chance. It is the offspring of a continued effort.
Charles S. Dewey

Powodzenie rzadko bywa wynikiem szczęścia. Jest rezultatem ciągłego wysiłku.

Charles S. Dewey.

nieczność wzajemnego doradzania sobie. Zwrócę uwagę w tem miejscu, iż zainteresowanie się sprawami gospodarczymi innego kraju nie nosi bynajmniej jednostronnego charakteru. Zainteresowanie to jest najzupełniej wzajemne. Nie dlatego więc tylko Ameryka pożycza Polsce pieniądze, by skutecznie taką lub inną lokatę kapitału, ale także dąży do zabezpieczenia sobie rynku zbytu dla swego eksportu. Charakterystycznym jest fakt, iż Ameryka

datną pomoc w kierunku zwiększenia wytwórczości dłużnika. Uważałbym przeto, iż ze względu na rolniczo-dobowy charakter zasobów ekonomicznych kraju, nowe pożyczki winny zasilić w pierwszym rzędzie rolnictwo i eksploatację naturalnych bogactw. Nowe inwestycje, których potrzebowałoby rolnictwo, to meljoracje, podniesienie produkcji roli i rozrost przemysłu przetwórczego. W innych dziedzinach, skierowane na zaspokojenie dziedzin życia gospodarczego inwestycji potrzebuje górnictwo, przemysł naftowy i t. p. Pozostaje jeszcze sprawa komunikacji. Jest to bezwzględnie niezmiennie doniosłe zagadnienie, uważałbym jednak iż zająć ono może dalsze miejsce w ogólnym planie rozwoju gospodarczego kraju.

Wł. Józefowicz.

Poznaj źródło zakupu

Na tle podobieństwa nazw firm zachodzą często nieporozumienia, szkodliwe dla przedsiębiorstw, i wytwarzające niezdrową konkurencję.

W niektórych wypadkach zjawisko powyższe jest powodowane złą wolą i chęcią naśladowania, w niektórych zaś wywołane jest po prostu przypadkiem, jak np. wtedy, gdy dwie firmy fabrykujące pokrewny towar, nazwy swe czerpią od jednej miejscowości, gdzie się obydwie znajdują.

Podobne nieporozumienie chcemy tutaj wyjaśnić.

Organizatorom i kierownikom biur w Polsce wiadomym jest, iż najlepsze meble biurowe wyrabiane są w Pabjanickiej fabryce, mało jednak kto wie, że w Pabjanicach egzystują dwie fabryki mebli — jedna własność p. Magrowicza, produkująca najlepszy towar, znany już chlubnie na rynku, druga — znajdująca się w rękach żydowskich, reklamująca się również jako Pabjanicka Fabryka Mebli.

Wyjaśnwszy powyższe, chcemy jeszcze zakomunikować wszystkim pragnącym nabywać tylko towar pierwszorzędnej jakości, że Pabjanicka Fabryka Mebli J. Magrowicza żadnych przedstawicielstw nie posiada, natomiast prowadzi swe własne biuro fabryczne w lokalu Towarzystwa „Pacific” przy Alei Jeżozimskiej Nr. 25.



Film z życia Liljany Gish

— Urodziłam się — opowiada o swym „filmie życia” Liljana Gish — w Springfield (Ohio), mam jednak wrażenie, że trudno by mi było znaleźć dom, w którym ujrzałam światło dzienne, gdyż rodzice moi — ojciec był kierownikiem teatrzyku wędrownego — wyjechali z Springfield wkrótce po moim przyjściu na świat.

Karjerę sceniczną rozpoczęłam po ukończeniu lat piętnastu. Powodzi-

ło mi się rozmaicie, najbardziej cierpiałam z powodu, że siostra moja Dorothy musiała grać w innem mieście.

Ojciec przenosił się ustawicznie z miasteczka do miasteczka, tak, że nie widywaliśmy się latami.

Pewnego dnia uległam nieszczęśliwemu wypadkowi, dzięki któremu ujrzałam znowu siostrę i ojca. Wypadek ten zdarzył mi się podczas premjery pewnej sztuki, w któ-



Liljana Gish w filmie „Czerwona litera”.

rej grałam czarodziejkę: unosząc się nad sceną. Utrzymywano mnie na sznurze, który w pewnym momencie pękł. Upadłam, złamałam nogę; byłam pewna, że karjera moja jest skończona. Leżąc na łóżku boleści, odczułam tak szaloną tęsknotę za domem, że zerwałam się z łóżka i kulejąc uciekłam do Kalifornii, gdzie znajdowali się rodzice i siostra.

Rodzina moja rozprawiała ustawicznie o filmie, który mnie wtedy mało interesował. Codziennie obijały mi się o uszy nazwiska Mary Pickford i Griffitha. Ani ona ani on nie byli jeszcze tak sławni, jak dzisiaj. Mary odwiedziła nas pewnego razu wraz z Griffithem. Wizyta Griffitha, który uznał, że nadaje się do filmu, zdecydowała o mojej karierze.

Od tej chwili rozpoczęła się wzmagać praca. Zaczęłam grać role kobieć młodości, naiwnych, demonicznych, tragicznych, bez wyboru i często bez planu. Największym powodzeniem cieszyły się wtedy filmy: „Judyta” i „Narodził się narodu”.

Gdy Griffith przeszedł do Biograph Company, zabrał mnie ze sobą. Dzieliłam z nim również dole i niedole w Fine Arts, First National i United Artist.

Nadszedł wreszcie wielki moment w moim życiu: wytwórnia Metro Goldwyn Mayer zaangażowała mnie na stałe. Z tą chwilą skończyła się dorywcza i nerwowa praca; zamiast niej przyszła robota spokojna i planowa, za którą tęskniłam. Teraz mogłam zrealizować swe dawne marzenia i zagrać Mimi w „Cyganerii”, która jest moją ulubioną postacią.

Nie wiem co przyniesie przyszłość. Surowi krytycy twierdzą, że ostatnia moja kreacja w „Krwawej literze” przewyższa „Mimi” i „Białą siostrę”. Może mają rację, może się mylą...

Na czym polega tajemnica mej sztuki? Odpowiem szczerze: na pracy. Nawet najgenialniejszy człowiek musi być pracowity, musi poddawać się pewnym rygorom. Mówię to bez patosu i przesady. Nie twierdzę, że można wszystko osiągnąć pracą, jestem jednak przekonana, że pewne rzeczy musi się bezwzględnie na tym warunkach opnieć.

Mogiła Nieznajomego Żołnierza

(Corso — Capitol — Pan).

Nowy ten film wykonany przez wytwórnię „Star” i osnuty na tle powieści A. Struga jest pierwszym filmem polskim zakrojonym na szeroką skalę.

Reżyser, R. Ordynski nadał właściwe tempo i całość wypadłaby bardzo udanie, gdyby nie pewne błędy trochę nierównego scenarjusza, który nie uwzględnił należycie martyrologii żołnierzy polskich w walce o wolność, co było nysłą przewodnią Struga. Główny nacisk kładzie reżyser na miłość Nelly do i tu osiąga pełny sukces, jakkolwiek należałoby może nadać przecuciom bohaterki o los „kochanego tatka” charakter bardziej wizyjny, co dodatnio odbiłoby się na całości.

Największe zastrzeżenia budzi zakończenie, do którego, po ślicznej scenie na cmentarzu, wpleciono zupełnie nie-

potrzebne wycinki zdjęć z rewji Listopadowej.

Doskonale wypadły sceny zbiorowe, jak napad zbuntowanego chłopstwa na dwór i fabrykę oraz niektóre zdjęcia wojenne.

Przyjemną niespodziankę zrobiła Małicka, która w zamlodej wprowadzie dla siebie roli, wykazała duży postęp, grając swobodnie i z uczuciem.

Dobrzy są Gorczyńska i Leszczyński, jako kapitan Larowski.

Świetne typy bolszewickie dali Broniszówna i Justjan. Nina Olida, dość sztywna i wnieodpowiedniej roli.

Nie należy brać również za złośliwość, jeśli stwierdzimy, iż Marr napewno nie zostanie „polskim Valentinem”. Bardzo dobrą sylwetkę ordynansa stworzył Walter.



Dolores del Rio i Victor Mc Laglen w filmie Foxy „Igrzysko na miotności”. Nazwa tego obrazu zmieniona została na „Pieszczoty djablicy”

Humor francuski

Caran d'Ache

II.



Dramat z powodu psa o 12-krotnym rodowodzie.

— Nie należy znów życia brać zbyt na serjo — pocieszał czasem studentów jeden z największych filozofów, Renan, którego bynajmniej posadzać nie można o frywolność.

Maksyma ta jest bodaj najlepszą, jaką można zastosować do światopoglądu humorystów, których zadaniem jest rzucenie różowej zasłony śmiechu na najbardziej pesymistycznie nawet ujęte obrazki z życia.

To też humorysta nie koniecznie musi operować szarżą, jak karykaturzysta, którego jedyną bronią jest przesada w wyrażaniu form. Humorysta może jaknajrealniej ujmować

tematy, wylawiając je z życia i eksponując nawet, podobnie, jak w kinematografie, „taśmowym systemem“.

Niezastąpionym mistrzem w tym rodzaju humoru był zmarły przed kilkudziesięciu laty artysta francuski, Caran d'Ache.

Wielu z pośród nas, znających język rosyjski, dopatrzyć się może w tem nazwisku analogji ze znanyim wyrazem „karandasz“ (ołówek). Tak jest, istotnie, bo artysta, pochodząc z rodziny francuskiej, której kolebka została założona w Moskwie po kampanji rosyjskiej przez wiarusa napoleońskiej gwar-

dji, niejakiego Poiré, zaczął podpisywać tym pseudonimem pierwsze swoje rysunki.

Dziwny był to człowiek. Tradycje rodziny wojskowej wywarły głęboki wpływ zarówno na jego powierzchowności, jak i na upodobaniu do czerpania tematów z życia wojskowego.

Kto nie znał tego „boulevardier'a“ paryskiego, podobnego raczej do oficera po cywilnemu, niżli do artysty?

A Caran d'Ache wечно był w ruchu, obserwując tłumy stołeczne i skrzętnie notując w pamięci spostrzeżenia, a za powrotem do domu, siedząc za stołem, podobnym raczej do rajzbretu kartografa, rysował zawięzanie szeregi postaci, zaopatrując je w ostre, jak szpilki przypiski.

„Karandasz“ był bronią tego pseudowojskowego, którą, jak najlepszy szermierz, zadawał dotkliwe rany.

Bogaty kalejdoskop życia, który wyszedł z pod tego genialnego ołówka, nie był ubrany w groteskowość, jak to wdział się u angielskiego humorysty Robinsona. Postacie Caran d'Ache'a, proste w wykonaniu i najzupełniej realne, bawią nas raczej groteskowością sytuacji, które się wylaniają z najprostszymi często wydarzeń życia.

Dokładną znajomość świata pozwalała mu operować wśród różnych sfer społeczeństwa.

Weźmy, na przykład, grupę, otaczającą przybitą staruszkę nakazem policji przywdziania psom namaidników. Obraz ten jest groteskiem zakończeniem serji migawek, w których widzimy do śmiechu: posuniętą miłość do psa.



Bujanie gości.

Cóż zwykleszego i bardziej logicznego od rozporządzenia policyjnego — a jednak, zdziwaczale umysły potrafią robić z tego tragedję.

Obraz ten, to jeden z wielu, które artysta poświęcił śmiesznościom pełnej przesadów i dziwacznych manji arystokracji.

Trudno powstrzymać się od śmiechu, gdy widzimy tragedję artysty, który kształtuje całe życie swe na epizodycznej roli i kalejdoskopie kariery scenicznej ponosząc s'uszną karę za śmieszne, a tak częste w tej sferze kabotyństwo.

Nie obcą była również Caran d'Ache'owi pomyslowość, przypominająca fantastyczną wynalazczość znanego nam Robinsona.

I tu jednak zarysowuje się poważna różnica w traktowaniu przedmiotów.

Robinson śmieje się — i to mu wystarcza, Caran d'Ache natomiast łęsa boleśnie i tylko tego szuka. Czy można porównać wynalazek pojedynekowy francuskiego artysty z takim semaforem Robinsona? Caran d'Ache, jak i wielu z nas, zapasywał się na zbagatelizowanie pojedyunku, jak na próżne „robienie dziur w niebie“, więc niesie wynalazek, któryby stanowczo zabezpieczy „zajadłych“ przeciwników od jakiegokolwiek ryzyka. Zwykle „buszowanie gości“, jakbyśmy powiedzieli po polsku.

Caran d'Ache był jedynym w swym rodzaju humorystą, a jak wielce go sobie cenił, najlepszym dowodem, iż dziennik „Figaro“, do którego dostarczał 2 rysunki na tydzień, honorował mu za nie po 600 franków za sztukę, co, na owe czasy znakomitą stanowił zapłatę.

Wszędzie go znano: na bulwarach Paryża stworzył sobie sławę, którą do dziś dnia nie przestała czarować ludzi, czego dowodem ciągle wznawiane wydawnictwa jego albumów.



— Obejmie pan rolę Napoleona.



— Widziałem cię pod Lodi.



— Pani, jesteś żoną Imperatora.



— Kto się ośmieli zdjąć mi koronę z głowy?



Waterloo...



— Najjaśniejszy Pani! — Oto najlepiej upieczone.

CUKIERNIA
M.A. WĘGIERKIEWICZ

BOLENA 5, Tel. 47-55

WIELKI DZIAŁ ŚWIĄTECZNY!

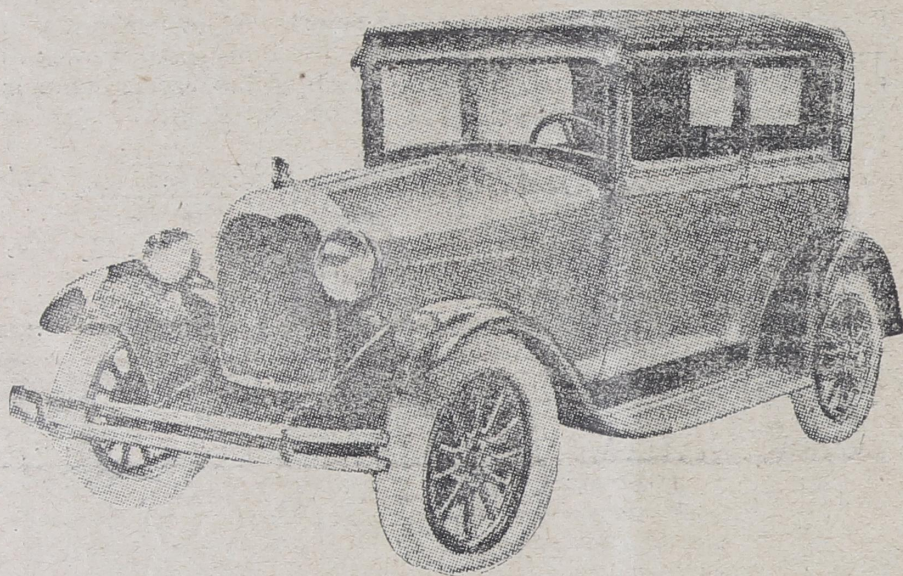
Znana w całej Warszawie z dobroci wyrobów i wytwornej publiczności. — Po gruntownym remoncie i zastosowaniu lokalu do potrzeb nowoczesnych,

POLECA SIĘ WZGLĘDOM

SZ. PUBLICZNOŚCI

Ze świata przemysłu

Produkcja Forda w świetle cyfr



Ostatni model wozu Forda.

Pojawienie się na rynkach zagranicznych nowego typu wozu Forda wywołało tem gorętsze komentarze, iż dzięki zażartej walce, którą konkurencja wypowiedziała temu „królowi” samochodu, zainteresowanie szerokich mas na całym świecie doszło do najwyższego napięcia.

Zwycięstwo Forda nie tylko świadczy o geniuszu organizatorskim tego człowieka, ale i o żelaznej, nadludzkiej prawie woli, którą jest przepojony.

— Co innego jest — oświadczył ze szlachetną dumą — budować doświadczalne modele w laboratorium, a co innego, przerobić największą fabrykę na świecie i zastosować ją do masowej produkcji nowych typów.

Prawda, że wielką tu rolę odgrywa 19-letnie doświadczenie przemysłowe, którego dziełem było wyprodukowanie 15 milionów wozów. Prawda, że niczem jest cyfra 15 milionów dolarów, które wydano na przeróbkę fabryk, wobec olbrzymiej cyfry 4.868.427.012 dolarów, stanowiących koszt surowca na wytworzenie 15 milionów wozów i wypłacenie 1.970.414.972 dolarów za wykonanie tego rekordowego dzieła.

Dziś, gdy dokonano już reformy, produkcja ta wyniesie zaledwie 200 wozów dziennie, wzrastając dopiero w przyszłym czerwcu do cyfry 12.000 wozów.

A jednak spokojnie zapatruje się wielki Ford na przyszłość i zapytany przez znanego ekonomistę, J. C. Forbes'a, jak szybko wyprodukuje nową serię 15 milionów wozów, oświadczył,

iż dzieła tego dokona w przeciągu kilku lat.

Mało tego. Niebawem ten wizjoner postępu przemysłowego nie spoczywa na laurach i chociaż najlepiej może sobie zdaje sprawę z doniosłości komunikacji samochodowej, której był pionierem, widzi przed sobą nową erę dla komunikacji powietrznej.

— Pomyśleć tylko — oświadczył pewnego razu w gronie najbliższych przyjaciół — co też uczynił Lindbergh w tym kierunku. Niedługo zapewne będziemy mogli osiągnąć szybkość 400 mil na godzinę, unosząc po 200 pasażerów, a wtedy podróż do Europy podobną będzie do „herbatkowej” wycieczki towarzyskiej.

Wizja przyszłości, którą wypowiada tak wielki realizator, jakim jest Ford, przestaje być złudą...

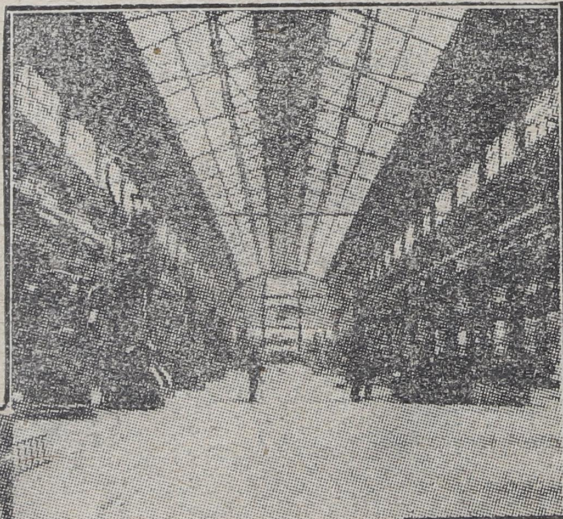
Z przemysłu samochodowego

Interesujące są postępy, które poczyniła znana firma francuska Citroen, zdobywając sobie jedno z czołowych miejsc w przemyśle światowym.

W r. 1919 — zaledwie 304 wozy Citroen skierowano na eksport, w rok później cyfra ta wzrosła dziesięciokrotnie, w r. 1925 liczono już 21.306 wozów rozsiadanych po wszystkich rynkach, a w roku ubiegłym wywieziono 40.000 wozów o wartości 600 milionów franków.

Popularność tej marki, której wytwórczość stanowi

dziś połowę całej produkcji francuskiej zawdzięcza niezmordowany organizator firmy, p. Andre Citroen wysokim za-



Hale
fabryczne
Citroën'a

Muzyka z próżni

Często myśl twórcza traci swą moc, przechodząc przez mózg ludzki i centryfugalny system nerwowy, zanim zostaje podana otoczeniu, czy to w postaci pisma, obrazu lub też mowy. Formami bezpośredniego oddania tworu duchowego są tylko te, które mogą być wyrażone za pomocą wzroku lub gestu. Przykładem — taniec, przez który można oddać otoczeniu całkowite przeżycie duchowe.

Muzyczne twory możemy wprowadzić wyrażać za pomocą instrumentów; zupełnie bezpośrednio nie jest go w stanie oddać nawet głos ludzki, ze względu na nader ograniczoną skalę tonów.

Z tego właśnie punktu widzenia wychodzi niejaki Teremin, który wynalazł instrument, przetwarzający w muzykę każdą wibrację ręki, poruszenie palca, nawet mrugnięcie powieki, pochylenie głowy, jak i każde inne poruszenie ciała. Więcej jeszcze — okazuje się bowiem, iż przez takie poruszenie można wytwarzać nie tylko tony, lecz i zmieniać kolor światła. Można również otrzymać te dwa zjawiska równocześnie, tak, że przy głębokim tonie i powolnym ruchu wytwarza się ciepły kolor brązowy, zaś przy staccatto, gdy palce u rąk poruszają się, jak przy grze na flecie, farby od jaskrawej czerwieni przejść mogą aż do czystej bieli. Dźwięk można eksponować na stole, na suficie, z przyległego pokoju, lub z dowolnego miejsca oraz wywoływać w najcudowniejszym brzmieniu, jak gdyby siedł z wielkiej odległości, jak echo.

W uzależnieniu formy współczesnej muzyki od ograniczonej skali tonów, Teremin widzi wielkie skrepowanie środków, za pomocą których wyrażamy myśli muzyczne. Pragnąc więc usunąć granicę, która istnieje na przykład między jedną trzecią, a jedną czwartą tonu, dąży on do tworzenia takiego miękkiego przejścia między interwałami, a to by zmniejszyło różniczkowanie do bezgranicznej możliwości, dając skalę, która na przestrzeni jednej oktawy nie miałaby tylko 16 tonów, lecz 50, 100 lub więcej pojedynczych szczebli — dźwięków.

Zadanie, jakie ma do rozwiązania Teremin, sprowadza się nie tylko do

rozłożenia skali między najdelikatniejszym pianissimem, a najwyższym nasileniem tonalnym — na tysiące warjantów, lecz do przekroczenia granicy najwyższego napięcia dźwiękowego, dotychczas używanego przez masę orkiestrową.

W tym celu stworzył on nowy instrument muzyczny, który jest kombinacją, złożoną z radiowego aparatu nadawczego i odbiornika.

Wiemy już, że dzięki falam elektrycznym możemy uzyskać zarówno najsilniejsze, jak i najdelikatniejsze dźwięki, jakie tylko ucho ludzkie jest zdolne pochwycić. W tej samej mierze znajdują się również granice możliwości instrumentu Teremina: przy najgłębszym, ledwie możliwym do pochwycenia przez ucho ludzkie tonie „C“ 64-o ramiennego rejestru basowego, instrument ten, dzięki elektryczności, wydać może wysoki, leżący na granicy możliwości, dźwięk, o takim napięciu, iż sprawia nam ból.

Dzięki tym tysiącom dźwięków niezależnie od ich skali i nasilenia, wylaniają się nowe możliwości dla muzycznego wyrazu, gdy dotychczas dźwięk fletu, na przykład nie mógł być w tej samej granicy intensywny, jak ton puzonu.

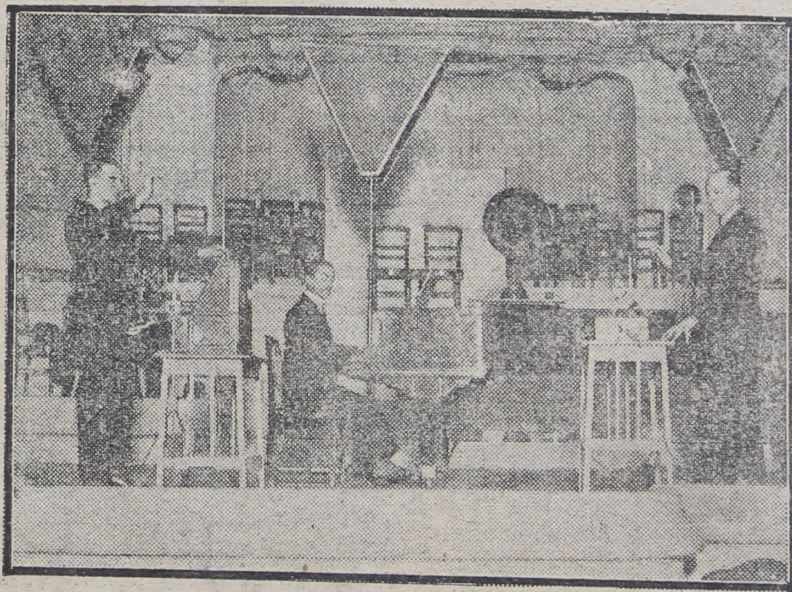
Czy te wszystkie możliwości oddawania oddadzą również swoje usługi i twórcom muzycznym — pozostaje najbliższa przyszłość.

Wszechstronność instrumentu muzycznego Teremina wyraża się w tym, że jest on zdolny uzyskać każdy dowolny kolor tonalny, począwszy od najprostszego wźwięku fletu, aż do nieskończonego skomplikowanej budowy dźwięku głosu ludzkiego.

Według opinii znawców, nauka gry na tym instrumencie jest łatwiejsza od wszelkiej innej sztuki muzycznej: kto umie grać na fortepianie — temu aparat Teremina jest o tyle dostępny, że chwyt i rzuty, do których grający jest przyzwyczajony, mogą być zastosowane i w tym wynalazku, jedynie tylko z tą różnicą, że palce nie dotykają wcale klawiatury, a robią odpowiednie ruchy w powietrzu. Im bardziej ręka zbliża się do anteny, tem wyższy otrzymuje się dźwięk. Antenę tę widzimy z jej strony aparatu w postaci pierścienia z drutu.

Aparat ten napozór zda się być szczytem doskonałości, w istocie jednak posiada on te same wady, co wszystkie dotychczasowe mechaniczne aparaty muzyczne. Dużo czasu upłynąć jeszcze musi, aż z połączenia sztuki z techniką łądzkość otrzyma instrument, równy w swoim dźwięku starym skrzypcom lub współczesnemu fortepianowi, którym aparat Teremina nigdy dorównać nie zdoła.

M. Sany.



Odkrywca muzyki z próżni, Leon Teremin, przy swoim aparacie.

tom, przewyższającym wszelkie przeciętne wymagania.

Wdzięczna linja wozów i luksusowe wykończenie, na które zdolni są Francuzi, mogą być uważane za pierwszorzędne zalety, ważniejszym jest jednak, by wykonanie techniczne motoru i części stało na wysokości zadania, służąc do bezawodnej komunikacji i przewyższając wszelkie możliwe przeszkody.

Ekspedycje w głąb kontynentu afrykańskiego, przyniosły zasłużoną chlubę jej organizatorom, dając dowód niepospolitej wartości marki i stanowiąc jeden z najniezwyklejszych egzaminów wytrzymałości, jakie można sobie wyobrazić.

Film, opisujący ten wspaniały raid, był podziwiany przez liczne sfery publiczności, a nawet przez zagranicznych monarchów, jak belgijska para królewska.

Reklama?

Zapewne. Ale poza reklamą skonstatować tu należy, że odwrotność czynu obywatela francuskiego, gdyż złożył on dowód, iż dzięki zaletom swojej marki mógł się przyczynić do najszerszej i najszczytniejszej ekspansji kultury francuskiej, stwarzając łatwości komunikacyjne poprzez olbrzymie przestrzenie nieznanymi i niedostępnymi terytorjów.

Bodajby każda reklama mogła być pojmowana w tak wyjątkowy sposób.



RÓWNE PRAWA RODZICÓW W OPIECE NAD DZIEĆMI

Jak wiadomo, w polskim kodeksie cywilnym pokutuje wciąż jeszcze archaiczny przepis, pozbawiający matkę prawnej opieki nad dziećmi na korzyść wyłączności ojca, a w razie jego śmierci — rady rodzinnej. Dwa państwa obecnie — i to jednym z nich jest „konserwatywna” Anglja — uchwałyły nowelę, przyznającą matce równe prawa w stosunku do dzieci w dziedzinie zarówno władzy rodzicielskiej, jak zarządu majątkiem. Drugim państwem, które identyczną poprawkę do kodeksu cywilnego wprowadziło, jest mała północna Islandja.

NOWY PROJEKT WALKI Z ROZWODAMI W AMERYCE

W oryginalny sposób, a dla stosunków amerykańskich — być może — skuteczny proponuje zwalczać lekkomyślność w zawieraniu i zrywaniu małżeństw czcigodny prezes senatu w Los Angeles — sędzia Burnell. Według jego projektu małżeństwa mają być zawierane na lat 5 bez prawa zerwania związku przed tym terminem. Po latach 5 następuje bądź rozwód, bądź ślub na dalsze lat 5 znów z tą samą klauzulą.

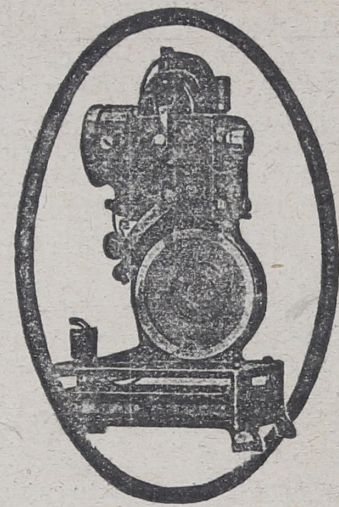
Po latach 15 małżeństwo nie może uzyskać rozwodu.

Projekt wzmiankowany jest jednym z charakterystycznym objawów nawrotu do zasady nierozdzielności małżeństwa, jako jedynej formy przeciw rozstrojowi obyczajowemu.

MEŻOWIE ANIELSCY SAMI BIORĄ SIĘ DO GOTOWANIA OBIADÓW

Chodzi tu jednak o „meżów” w dawnym znaczeniu, z którego wziął źródło przymiotnik „meżny”, mianowicie o mężczyzn nieżonatych, którzy z całym stoicyzmem wolą skazywać się na przewlekłe choroby żołądka wskutek jedzenia restauracyjnego, niż zdobyć się na włożenie głowy w „jarzmo małżeńskie”. Lekarze angielscy twierdzą, że 90 proc. kawalerów zawdzięcza brak zdrowia restauracyjnemu pożywieniu. Londyn założył zatem szkołę gotowania dla mężczyzn. Nauka trwa rok, poczem odbywa się egzamin teoretyczny i praktyczny. Egzaminują doświadczone gospodynie. Trzeba tu dodać nawiasem, że utrzymywanie kucharki w Londynie, to zbyt, na który pozwalają sobie tylko domy zamożne.

Pathe-Baby



PROJEKTOR

Domowy

Na filmy NIEPALNE

ALEKSANDER KOCH

Warszawa, pl. Napoleona 5.

Panna jak zegarek

Pewien dowcipniś porównuje kobiety, a zwłaszcza panny, z różnymi zegarkami, jak na przykład: Młode panny są podobne do starych zegarków — zawsze się spieszą. Próżne panny są jak zegarki kieszonkowe — łatwo można je naciągnąć. Strojne panny są jak zegary wieżowe — patrzy się na nie, lecz kto by je chciał wziąć do domu! Ładne panny bez rozumu są jak zegarki zabawkowe i rychło się sprzykrzą. Wścibskie panny są jak budziki — słucha się ich ale niechętnie. Zmarzone panny są jak zegary słoneczne — pod czepcem nic nie warte. Skromne panny są jak zegary repetujące, słyszy się tylko na wezwanie. Pretensjonalne panny są jak zegary zastawione — odstawia się je. Modne panny są jak zegary cylindrowe, bardzo płytkie. Bogate panny są jak złote zegarki — wszystko się pyta, ile warte. Uczone panny są jak zegary ściennie — bardzo trudno je nosić. Gospodarne panny są jak zegary wahadłowe — idą najpewniej.

Kartki z humoru



— No, co ci jest, maly? Czy nie ladne to wszystko, co ci przyniosl swięty Mikołaj?

— Ładne tatusiu! Ale czy nie uważasz, że to wcale głupio wygląda, żeby tyle wszystkiego podarował mi nieznajomy, a ty nic...



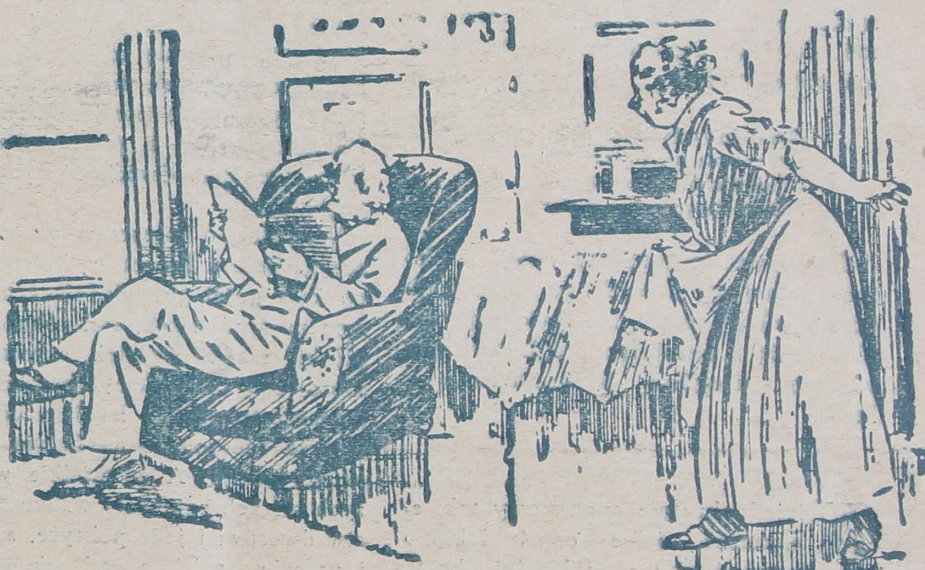
— Proszę mi dać befsztyk.

— Panie Kon, a czy z cebulką?

— A co pan myślał, że ze storkami?



— Żeby pan doktor wiedział, w jakim jestem stanie. Wątroba mnie boli, żołądek mnie pali, nogi mi popuchły, w gardle mi wysucha i sam jakoś się czuję niewyraźnie.



— Proszę pana, możeby pan tam poszedł, bo ogrodnik jak się urządził po Pasterce, to się dostał do salonu i strzyże dywany maszyną od trawników...



— Co się też mogło przyczynić, żeby Pan takich lat dożył?
Bo się urodziłem przed odkryciem mikrobów.



Boże Narodzenie w Moskwie.
— Nie wiesz, Moryc, czego te dzwony tak biją?
— To głupstwo! To sobie jakieś tam święto kolonji rosyjskiej.





Wyjątek dziś czyniąc przyjętemu zwyczajowi pisania o grafomanach w rubryce „z biurka redakcyjnego”, przytoczymy anegdotę o niejakim Mollu, którego dotkliwa kara za trwonienie atramentu i papieru publicznie spotkała i despektem na całe życie okryła.

Wspomniany Moll, gryziony — jeśli można się wyrazić — przez złośliwego mola natchnienia poetyckiego, popełniwszy przekład „Berenice”, Racine’a pośpieszył zanieść tomik na większą „asambłę” towarzyską i dumnie pokazywać go znajomym.

Nieszczęście jednak chciało, iż znalazł się wśród zebranych znany ze swego jadowitego dowcipu Antoni Gorecki, który, nieznacznie przejawsz tomik do ręki, napisał na okładce cięty ten czterowiersz:

„Taka losów ludzkich dola,
Nie uniknie nic zniszczenia!
Młodo wieków uwielbienia
Znalazł Rasyń swego mola”

Oczywista, że każdemu wpadł w oko ten anonimowy docinek, ba, zapamiętało go sobie nawet z największą dokładnością i nazajutrz pół Litwy opowiadało anegdotę o grafomanie — Mollu.

Niejednokrotnie anonimowy taki epigramat, jakie ongiś lubiono komponować przy każdej okazji, przykreść sprawiał niezashowaną ofierze złośliwego żartu. Boć los ten wszakże jest udziałem każdego, co pada ofiarą anonimu, tem dokuczliwszego, iż komponowany w łatwej formie i publicznie ogłaszany, okolicie całe obiega z chyżością błyskawicy.

Weźmy, na przykład, wypadek z niejakim pocziwym kapłanem wileńskim, ks. kanonikiem Zienkowiczem, co, w najlepszej wierze, kazał być wymalować na pięknie odnowionej swej kamienicy: „Dom K. Zienkowicza” i znalazł w kilka minut po wywieszeniu tej tablicy, następujący anonimowy dopisek:

„Co to K. znaczy?
Czy kpa czy kanonika
Należy do czytelnika,
Niech sobie wytłumaczy”.

I za cóż taka złośliwość? A kilku minut wystarczyło, by całe miasto z lubością rozpowiadało sobie, bezsensowny zresztą ten epigramat...

Kilkakrotnie wspominaliśmy już o pełnym „a propos” dowcipie znanego poety Karpińskiego, który z każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji znajdował wyjście.

Anegdota, którą tu powtórzymy, nie świadczy wprawdzie o pohopności poety do załatwiania pewnych spraw na drodze honorowej, ani o wytworności manier w niektórych towarzystwach — ale trudno, każdy czas ma swoją charakterystykę, a w okresie tym właśnie, bardziej niż kiedykolwiek, panowało zupełne pomieszanie pojęć i obyczajów. Odbijało się to nawet na zewnętrznych cechach towarzyskich, jak przez rywalizację pomiędzy żupanem a frakiem, butami a pończoszками, blachym symbolem dwóch różnych światopoglądów.

Wypadek, o którym mowa miał miejsce na balu u Prozorów. Wśród zwartego koła gości, przyglądających się płasom na środku sali, stał również i Karpiński, rzadki wyjątek czyniąc „racy-morowem” krótkimi spodeńkami i „menschestrowym” frakiem od ogólnie jeszcze noszonego na Litwie staropolskiego stroju. A że wielkie w niektórych sferach panowało wzburzenie przeciw dworowi i jego polityce, a przez to i przeciw „polskim cudzoziemcom”, jeden z młodych ludzi, parobkowatych snąc manier własnego chowu, podszedł do Karpińskiego i, ni stąd, ni zowąd, plunął mu w oczy.

Niemalby uczynił się tumult, zachęcano Karpińskiego do odwetu, głośno wyrażając oburzenie za tak wielkie grubiaństwo, poeta jednak najspokojniej twarz sobie otarł i wyrzekł dobitnie:

— Co tam, panowie, lepiej wszak w oczy, niżli za oczy...

Znanym był swojego czasu na Litwie pan możnego domu, Karol Czapski, który obok niepospolitych zalet towarzyskich i społecznych, był jednak wielkim dystraktem. „Wsypy” jego były tak klasyczne,

iż cały kraj o nich szeroko opowiadał, ale jeśli się i pośmiewano, to nigdy ze złą intencją, Czapskiego bowiem szanowano i ceniono, jako wzorowego obywatela.

Zdarzyło się pewnego razu, iż zaprosił był Czapski liczne grono osób na wystawne przyjęcie, na którym główną osobą miał być gubernator miński, hrabia Ignatjew.

Oczywista więc, że gdy wszyscy się byli pochodzili, jedynego zaś grafa jeszcze nie było, nikt się nie zdziwił, iż gospodarz sam wybrał się do pałacu gubernatorskiego, celem stwierdzenia przyczyny tego opóźnienia. Boć, mówiąc nawiasem, biedny Czapski, zapomniał, poprostu, zaprosić Ignatjewa.

Rusza więc czempredzej, a gdy na miejsce przybywa, trafia na moment, iż gubernator ze switą zasiada do stołu.

Zaproszony na obiad, siada Czapski z innymi, zapomniawszy po co przyjechał. Dziwnem zachowaniem się podczas biesiady zwraca powszechną uwagę, widać, że z trudnością poskramia niewytłumaczone wzburzenie — aż wreszcie, przekonany, że to jego obiad, zwraca się do Ignatjewa:

— Daruj mi, panie generale, bo umieram ze wstydu, iż kucharz mój tak haniebnie spaskudził obiad, że nie poproszę do ust wziąć nie można było.

Innym znów razem, Karol Czapski, usilnie zabiegając o pewną, zawila sprawę, wybrał się był do Petersburga, by rzecz całą przed samym ministrem wyłożyć.

Na oznaczoną godzinę przybył więc do pałacu paradnie odziany w niewygodny mundur dworski i ogromne, jak wówczas noszono, botforty. Minister go przyjmuje, sadza obok siebie i wysłuchuje długiej mowy Czapskiego, który, jak to zwykle czynił, wyklada całą rzecz z niebywałym przejęciem, zapominając o całym świecie bożym. W pewnym więc momencie, machinalnie sięlga po chustkę ministra, którą spostrzegł na stoliku, nos wyciera i, nie wiedząc gdzie podziąć, wtyka za cholewę. Upierzony o dystrakcję Czapskiego minister nieznacznie wzywa kamerdynera i każe sobie podać nową chustkę. Sześć razy powtarzał się ten niewymowny proceder, sześć chustek znikło jedna za drugą w cholewie Czapskiego, aż do lez rozśmieszony minister zakochał wreszcie rozmowę, przychylnie rozstrzygając sprawę petenta.

PIOTR BONARDI.

Opowieść autentyczna

S a e t t a

— Zia Palma, czy idziecie na Pasterkę? — zapytują od progu trzy młode dziewczyny, ubrane jak jedna na czarno, z „faldettą“, okalającą ich piękne poważne oblicza, o ciemnych oczach i jakby zgasłym uśmiechu.

Zia Palma jest starą kobietą. Wiele już dźwigała boleści na swych pochylonych barkach. Mała, pomarszczona, ale bez cienia jakiejkolwiek uniżoności. Pali ją żądza zemsty. Po trzy razy musiała już odśpiewać ponure pieśni żaloby nad ciałem ukochanego dziecka. Po trzy razy już przydzwigano do domu jej na noszach z gałęzi ciała z jej ciała, z zabrane błotem i krwią.

Mąż, syn, zięć. Wszyscy padli od kuli straszego Saetta. Cóż jednak dziwnego w tych tragicznych wypadkach? W każdej wiosce korsykańskiej — dwie, cztery, sześć rodzin są w stanie „vendetty“. O co?

Różne bywają przyczyny. Często wywołane są przez byle jaką blahostkę, kiedy indziej chodzi o kobiety. Spory graniczne; szkoda, którą poczyniła koza w ogrodzie; nieostrożne odezwanie się przy kartach; odrzucone umizgi miłosne... Blahostki! Vendetta spada na rodzinę, gdyby piorun na drzewa lub fala morska, co wyraca łódź rybacką. Huragan nie szczędzi ofiar. Vendetta również. Na ślepo, czasem w to, czasem w inne domostwo... A przyczyna? Może, to fatalność, na którą winę składali starożytni

Zia Palma nie wybiera się na Pasterkę, lecz zato, zwracając się do swej wnuczki, milej Vaniny, zachęca ją:

— Pójdź, dziecko, pójdź z twemi towarzyszkami i pomódl się za spokój ich dusz.

Z pięknej rodziny, której życie dała Zia Palma, jedna jej pozostaje Vanina. Oto trzy peloni, przeszyte kulami i trzy fuzje, które nie zostały osiągnąć zabójcy, oto trzy sztylety. Jeden z nich tylko zaznał rokoszy krwi ludzkiej. Zmarło się dziadowi, a za nim poszedł ojciec, stryj i biedna matka, porażona boleścią. Jedna starucha oparła się śmierci, bo nie chce umrzeć, dopóki nie zostanie pomszczoną. Vanina

jeszcze pozostała, bo młoda. A przecież...

Bo przecież Vaninie naniesiono najstraszniejszą ranę. Krwawy zbój, którego chłopci nazywają Saetta — piorun — Saetta, ten nieuchwytny bandyta, był jeszcze przed dwoma laty najukochańszem dzieckiem Zia Palmy i obu jej synów, Saetta był narzeczoną milej Vaniny.

Aż oto, pewnego dnia, brat Saetta wszczął głupią kłótnię przy kartach ze stryjem Vaniny. Pchnięcie sztyletem... i już po wszystkim. Brat Saetta zginął, a zabójca ukrył się w lasach.

I wówczas narzeczoną spotkał na próg domu, w którym doznawał tak gorącego przyjęcia i poddał się srogemu obyczajowi Vendetty. Pośmić brata, zgładzić wszystkich mężczyzn z rodu, z którego wywodził się zabójca, stało się jedynym celem jego życia. Bezapelacyjnie jest straszne to prawo obyczajowe. Niema tu miejsca na próżne rozmowy. Za krew żąda się krwi, krwi wszystkich męskich potomków nie-nawistnego rodu.

Nie czuje się na siłach Vanina opuścić babkę w tę noc, gdzie wszędzie rozbrzmiewa wesele. Nie pójdzie na radosny obchód Bożego Narodzenia.

Zia Palma jednak dalej nalega: — Idź, dziecko, idź pomodlić się z twoimi towarzyszkami.

— Ale i z wami, Zia Palma — nieopatrznie wyrwało się jednej z dziewcząt.

— Dlaczego?

— Bo Saetta jest we wsi.

Głucha cisza. Saetta! Staruszka wstała. Wzrok jej groźne skierował zapytanie w stronę broni zabitych. Czy aby podolają jej stare ramiona, czy aby służyć jej będą te sterane oczy, co tyle łez wylały?

— Po co tu przyszedł?

— Szuka nowej zemsty. Powiadają, że Chadone szpiegował za nim: on zabić chce Chadone.

Nie już nie mówi Zia Palma. Czuło objęła ukochaną swą Vaninę, a oczy wciąż błędzą w kierunku broni zabitych.

Odeszły więc dziewczęta ku wsi, w poszukiwaniu towarzyszek, aby tem liczniejszą gromadą pobożnie

wznieść pieśni w drodze do kościoła.

Nikt dziś nie zaśnie w domostwach. Migocąc w rękach mężczyzn, latarki, jakgdyby przyjaźnie mrugały mirjadom gwiazd, rozsianych wśród tej boskiej nocy... Odprowadziliśmy królów do stajenki. Przyswiecać będziemy przygotowanym do świętych godów...

Tu grupa chłopców. Tam grupa dziewcząt. Nie łączą się ze sobą. Każdy idzie swoją drogą. Głosy rozbrzmiewają w pieśni, raz męskie, raz cienkie dyskanty dziewcząt. Cicha, bezśnieżna noc wigilijna. Czarowny urok właściwy krajom, co leżą nad morzem Śródziemnym.

Chłopcy w jedną stronę, dziewczęta w drugą i obie grupy rozejdą się w nawie kościelnej, jedna na prawo, druga na lewo. Nie znają Korsykańskie śtych umizgów i słodkich słówek.

Usiadła Zia Palma i ręce kurczowo spleciała na kolanach, kiwa biedną, skolataną głową i powtarza bez przerwy:

— Nie. Nie pójdę na Pasterkę. Nie pójdę na Pasterkę...

Zerwała się raptownie.

Zerwała się i podała w kierunku, gdzie widnieją krwawe pamiatki i krzyczy w nagłym zapamiętaniu:

— A jednak i ja będę miała ucztę!

— Masz — mówi, rzucając nałóżne Vaninie. — Nakrój do stołu. — Rozbierz, żeby widać było krew.

Chwyta za fuzję.

— Oto świecznik...

I wciąż się kreci, jakgdyby czemś jeszcze chciała dopełnić ponure te przygotowania.

Vaninę wstrząsała dreszcze. — Wzniosła oczy ku niebu i szence:

— O Boże, przebacz jej! Zmiłuj się nad nią. O Jezusie nowonarodzony, wstaw się za nią, boć przecież i ona była dobra.

Wtem drzwi się rozwarły i weszła jakaś kobieta, głośno zawodząc od progu:

— Zia Palma, Zia Palma, córeczka moja kona. To złty urok jakiś. Wszyscy odeszli na Pasterkę. — Chodźcie, ratujcie mi moją dziecinę.

Zapušciła więc Zia Palma faldetę na oczy — zapomniła o wszystkim i bez słowa znikła wśród nocy.

Vanina jest sama. Nareszcie może się wypłakać. Może dać upust boleści, co jej rozpierało serce. Jakżeby mogła zwierzyć się babce, że nie tylko oplakuje zmarłych. Vanina płacze nad własnym losem. Łzy roni nad umęczoną swoją miłością.

Oto widzi dorodnego swego narzeczonego, Antonia, którego nikt jeszcze nie nazywał Saetta. Oto wspomina o pięknych spacerach wśród gór, zabawy na piasku nad morskim, wycieczki w głąb tajemniczych lasów. I oto wracają wzdłuż ścieżyn, skąpanych cudną wonią kwiatów. Nigdy nie zaznali czulego osamotnienia, lecz wśród tłumów nawet, proste ich serca umiały dojrzeć piękno horyzontów, które się przed nimi otwiera. Jakże było dobrze...

Dzwony! O tej porze, co wieczór, życzył jej dobrej nocy na tym samym progu, gdzie go żegnała, odchodzącego wśród nocy. A głos jego jeszcze zdaleka rozlegał się gromko — dobra noc, ukochana, dobra noc. — Co wieczór... lecz co to?

Na progu ujrzała Saetta — bandytę, tego co był jej narieczonym.

Stoi na progu, stoi przed domem, który okrył tak ciężką żałobą. Jest! Zbój! Ukochany! Stoi przed nią, ten sam, dorodny, o bystrym wzroku i pięknej postawie.

— Vaninal

— Ty? Czego chcesz? Po coś przyszedł?

— Przechodziłem. Musiałem zajść, chciałem cię zobaczyć. A gdzie babka?

— Poszła do Naraty... poszła odzekać dziecko... Idź precz!

— Chciałem cię zobaczyć, moja ty Vanino, chciałem ci powiedzieć, jak strasznie cierpię... i jak ciebie kocham.

Przemawia i mimowoli odpowiada mu Vanina. Czuje dobrze, że więcej w jej sercu miłości, niż nienawiści. A on, on zabił, bo tak chciało prawo i nie wolno z pod niego się wylamywać, nie wolno stchórzyć przed Vendettą.

Dzwony! Głos ich roznosi się po górach, pokrywając je jakgdyby całunem harmonji i miłosierdzia. Boć to nastąpiła godzina, gdy wszystko się uśmierza pod wpływem Słowa Bożego, które zawsze głosiło o przebaczeniu.

Oto za kilka chwil zasiadą wszyscy wokół komina i gwarzyć będą, powtarzając sobie odwieczne podania święte i bajki o czarownicach i dobrych wróżkach. Rozlegą się za chwilę kantyki i kołysanki, „nanni i lamenti“. Zasiadą potem do uczty. Zakluto wieprze, „Ficatelli“ okraszają gęstą „polentę“. A tarte kasztany lub takie, co odrazu się piecze i zajada, gorące.

Piękne to były wigilie. Piękne to były czasy, gdy tak się kochali...

I mówi mu:

— Już pójdź! Już pójdź! Wnet babka powróci... Idź precz! Nie mogę patrzeć na ciebie...

Lecz jednocześnie pragnie najgoręcej, by urok jej oczu przykuł go do miejsca. Bo widzi, że nie jest już na progu, a zwolna, krok za krokiem wchodzi do domostwa. Oto stoją przed kominem. I pokazuje mu ponure przygotowania babki.

— Patrz, oto jej uczta, oto obrus, świecznik...

Opuścił głowę nieborak i z ust wyrывa mu się bluźnierstwo:

— Już nie wierzę w Vendettę.

Biedne dzieci! Czas nie uszanuje waszego bolesnego szczęścia. Czas nie lituje się nad waszą tęsknotą. Saetta wciąż jeszcze stoi przed ukochaną, gdy wtem wchodzi Zia Palma.

— A...

Lwica rozjuszona! Wróg! Wróg przyszedł!

I jednym susem rzuca się ku niemu ze sztyletem.

Saetta, ten śmiały bandyta, ten zuchwalec, co siłą wszystkim imponuje, Saetta, którego imię znaczy piorun, bez trudu paruje uderzenie i broń bezsilnie wypada z ręki starucha.

Gdzie fuzja? Biegnie z nową bronią stara, zmierzsa się — już ma strzelić. Al Zbrodniarz! Tu go ma, tu, na końcu muszki! Zemsta! Nie umrze, by nie pomścić krzywdy! A Saetta stoi przed nią niewzruszony...

Ale cóż to? Vaninal

A Vanina ciałem swem zastania bandytę i krzyczy z całych sił:

— Nie tu, babuniu, nie w domu!

— Odejdź!

— Niel Niel On jest u ciebie, on sam tu przyszedł, bez przymusu: nie zbezczeszcisz przecież naszego domu.

— Odejdź!

To Saetta odsunął ukochaną i pierś odsłania przed Zią Palmą. — Gotów jest. Sam sobie obmierza,

On pragnie śmierci. Vanina upadła na kolana.

Starucha wciąż mierzy, ale broń drży w jej ręku, lufa opada, fuzja wymyka się z dłoni i dwie ciężkie łzy spływają wzdłuż boleśnie pomarszczonych policzków.

— U mnie jesteś. Nie mogę cię zabić. Nie mam prawa. Idź precz. Zemsta moja wszędzie cię odnajdzie.

Rozwarła drzwi.

— Idź precz! Przeklęty!

Ale wtem, nadstawiła ucha, drzwi szybko zawiera, zastawia sztabą...

— Zandarmi!

Saetta wciąż stoi, niewzruszony. Spojrzał na fuzję, nieznacznie zasunął sztylet za rękaw.

— Okno — szepce Vanina.

— Nie — przeczy Zia Palma. — Mogłby się skaleczyć. Niech scho- wa się w sypialni.

— Co znaczy?

Nie znosi, żeby nie spełniono jej rozkazu.

— No, dalej! Włącz i siedź tam cicho...

Posłuchał się. Zandarmi kołaczą. Stara otwiera.

Opowiadają, że cały czas tropią nieuchwytnego zuchwalca i obawiają się, by czasem tu nie przyszedł, by jaką zbrodnię popełnić. Ani na chwilę nie przypuszczają, by coś mogło łączyć starą z bandytą i u spokojeni — odchodzą.

Przywołuje Saetta. Staje przed nią oszołomiony tą zimną krwią, tem rzadkiem opanowaniem.

— O Zia Palma! Wspaniałomyślność twa gorzej mnie karze od śmierci. Nadzwyczajna jesteś, babuniu!

A stara mu przerywa. Długo przemawia, długo i dobitnie, bo nie chce, żeby czasem inaczej nie zrozumiał.

— Nie myśl zuchwalcze, żebyś się uniosła wspaniałomyślnością... Vendetta. Stałeś mi się wrogiem, a tembardziej cię teraz nienawidzę, że los cię ustrzegł od śmierci. Nie mogłam cię zabić, tu, w moim domu, nie mogłam cię wydać — ale nie znaczy to, żeby wszystko się skończyło. Idź precz! Jeśli nie wydałam cię żandarmom, to zrozum, że dlatego, że wszystko skończone dla ciebie z władzą. Nie im, a mnie podlegasz, mnie tylko i mojej zemście. Precz!

Więc jeszcze raz ogląda się nieborak...

— Adio — szepce — żegnaj mi, Vanino.

HIPEK I FIPEK

BAJKA ŚWIĄTECZNA

Noc wigilijna. Pierwsza rano.

Rzecz dzieje się na pierwszym piętrze pięknego domu u państwa Durand. W dzieciennym pokoju śpią Lili, Zezetka i Riri.

Starszych niema w domu. Są u znajomych, a służba dawno śpi.

Lili (8 lat), Zezetka (7 lat), Riri (6 lat) wystawili przed kominkiem pantofelki i pięknie śnią w łóżeczkach.

Hipek i Fipek, złodziejaskowie, ostrożnie zakradają się do pokoju. Przyswiewają sobie ślepą latarką i cicho, bez szumu, odbywają oględziny pokoju.

HIPEK. — Patrz, bracie, bębny!... A galante jakie! Patrz jakie szelmy ładne.

FIPEK. — A prawda, jakie ci kławe z temi kudłami złotymi...

HIPEK. — Wiesz, bracie, co ci powiem? Kiedy na to patrzę, to widzę dopiero, jakem spaskudził życie... Powinienem był też jaką babę wziąć... Bo mam ci, bracie, pociąg do ojcostwa.

FIPEK. — A wiesz, że prawda, jak Boga kocham. Taki sam jestem, jak ty. Albo, może, to ty jesteś, jak ja... Albo to obaj jesteśmy, jak jedno...

Sumiennie pracują Hipek i Fipek i wnet zdążyli zawinąć do tłomoka parę cennych obrazków ze ściany. Już dali nawet i trochę ubrania z szafy.

Jeszcze trochę — bo tam, w gablotce, jest kilka „mądrych“ cacek.

Ale wtem, Hipek, a może Fipek, potrącił jakieś krzesło. Upadło z hałasem.

HIPEK, po cichu. — A to ci granda! Choroba, psiakrew...

FIPEK, tym samym tonem. — A niech cię nie znam, psiakrew...

Kilka chwil przechodzi.

Hipek i Fipek boją się poruszyć, aż oddech im zamrle w piersi.

LILI, na pół obudzona hałasem. — To ty, mamusi?

ZEZETKA. — To ty, tatusiu?

RIZI. — To Fraulein?

Jeszcze kilka chwil.

Hipek daremnie stara się schować za fotelem; Fipek szuka schronienia za kotarą.

HIPEK, szeptem. — Niechby tylko zasnęły, parszywe bębny... A to ci los!...

FIPEK, szeptem. — Niema co gadać, to żeśmy wpadli! Co tu robić?..

Niestety, żadne z dzieci nie bardzo

chce zasnąć. A nawet już słyszą, jak grzebią się w łóżeczkach.

Jeszcze chwila, a wszystkie odwrócą się i zobaczą, co się święci.

HIPEK, radośnie, jakgdyby wpadł na znakomity pomysł. — Nie, nie dzieciaczki wy moje. To nie tatuś, to nie mama, to nie bona... Słuchajcie, smarkule, to Dziadus Wigilijny do was przyszedł.

LILI, ZEZETKA I RIZI, z zachwytem. — Dziadus Wi...?

HIPEK, uroczyście. — Klawo, brzdące, co? Dziadus Wigilijny! Sam Dziadus, a z nim św. Mikołaj... Ale nie odwracajcie się, bo Dziadus nie każe... Nie chce, żebyście go widziały, bo chciał wam zrobić niespodziankę. Nie odwróćcie się, dobra?... No to byczo... (Szeptem do Fipka). A ty się uwijaj, galopa, wał, bracie, co tylko się da i już nas niema... (Ładuje z gablotki 2 szkatułki srebrne. Uroczyście prawidła). Te, święty Mikołaj, a gibajże tutaj z temi chodakami... bo jak ci obiecały, że się nie odwrócą, to trzeba im mądrze podziękować. Trzymaj — dwa pudła kasztanów w cukrze po 10 kilo...

FIPEK, również uroczyście, wsuwając do kieszeni piękny wazon kryształowy i dwa świeczniki srebrne. — Słuchajcie-no, Dziaduniu, a czy można im dać do drugiego chodaka po pułku żołnierzyków, po samych chodzie, po pięć książek ze złotymi kantami i po balonie sterowym?...

HIPEK, ładując zegar podróżny, tackę i szkatułkę z kości słoniowej. — Wał, bracie! Wał, święty Mikołaju. Pozwalam ci, bo przecież były grzeczne cały rok. Wybierz nawet, co masz najpiękniejszego ze swoich żołnierzy, najszybsze auto, jak można więcej złożone książki i najlepsze balony... (Stwierdzając, że nic już nie zostało w gablotce). Goto-we, co? To wiejemy dalej, święty ty mój Mikołaju. Jeżeli wszystko im damy, to nie się dla innych dzieci w tym domu nie zostanie!

Ładują na plecy tłomok i kierują się ku wyjściu.

LILI, ZEZETKA I RIRI, nie odwracając się, bo im Dziadus nie kazał, klaszczą w dłonie, zegnając kompanów. — Dziękujemy, Dziadusiul! Dziękujemy, święty Mikołaju! Dziękujemy!

Max i Alex Fisher

Rozmowa

Cóż z tego, że płakałaś? Może płakałem i ja, choć o tem nikt nie wiedział. Cóż z tego, że porwane zostały w strzępy twoje dziewczęce wierzenia?

Że boli mię twój płacz, że sercem mojem targa twój żal za tem, co mogło być i mogło być piękne, a nie było — to i cóż?

Dlaczego? Ha! Moja droga! — może dlatego, że lzy odbierają siły. Lzy zawsze zostawiają ślad na twarzy i na duszy. Życie krótkie. Roztliwiać się — czasu nie ma. Człowiek jest samolubem. Jest nim nawet wtedy, gdy poświęca się dla drugiego.

Samolubem jesteś — gdy płaczesz. Samolubem jestem i ja, gdy pytam: Cóż z tego, że widzę twoje lzy, wszak i ja płakałem?

Życie jest krótkie. A pracy jest wiele. Bardzo wiele. Nie wydrży człowiek — bo wszystkiego dokonał. I chleb codzienny trzeba mieć, i w gmach ludzkości choć jedną cegielkę ze swoim nazwiskiem wbudować.

Mówisz — że wszystko to można dokonać bez porwania w strzępy marzeń i snów? że można wielkiem kochaniem zawody życia osłodzić? Osladzać ból — pewnie, że można, a łamać przeszkód tkliwością nie potrafił jeszcze nikt. Tam trzeba za ciśniętej pięści, zaciśniętych zębów, serca zamkniętego na klódkę — by nie wejrzał do niego nikt.

Życie łamie marzenia, które śnił ten, który życia nie znał. Życie nie jest romansem.

Cicho... Nie mów nic, że życie twoje złamane, a ja nawet cegielki mojej jednej z imieniem mem w ludzkości gmach nie wbudowałem. Nie mów nic, że zmarnowałem życie własne. Wtedy byłby koniec żywota, który romansem nie był wcale.

Mówisz, że granie, pieśni, słowo, sen, kochane dłonie mogą wiele? że dają siły, wiarę, ufność? że może swoją część już zdołałbym zbudować, gdybym do twoich nie dopuścił lez? Może by wtedy i moich lez nie było?

Obejmują mię twoje serdeczne ramiona, podnosisz ku mnie swe oczy, pełne lez, i zapewniasz cichocichutko: „To ja, twój dawny sen o szczęściu. Jestem przy tobie tu, blisko...”

W. Borakowski

Semi-ko

(ŚWIERSZCZYK)

Ko o ojcowej świątyni, w pośrodku powyginanych sosn, było tyle śpiewnych i świerszczących owadów, że nazwano ją „Semi-ko“, czyli świerszczyk.

Córeczką była kapłana, najmłodsza z czternaściorga dzieci. Chowała się w tej czeredce i ćwirkowała wesoło, jak owady — towarzysze, którzy imię nosiła. Beztroskiem bożwieniem było jej życie — ryżu nie brakło w porcelanowych miseczkach, a i smakowitych rybek także. Kapłano ją codziennie i czesano wymyślnie splety jej kruczych, gęstych włosów.

W święto i „kurumę“) czasem się przejechała do pobliskiego kina, w którym jakieś zamorskie pokazywało no dziwy.

Tak rosła Semi-ko, niepomna swej urody (bo o tem w rodzinie nie było mowy), dbała o przystrojenie ołtarzy i chwałę Boga, myśląc, jak usłużną być dla starszego rodzeństwa, posłuszną matce, a ojca zbyt kamieniami nie nękać, wtedy, gdy śpiewał jednostajnie swe modlitwy. A gdy pogrzeb jaki się zdarzył lub wesele, no... to wtedy podarkom nie było już końca, gdyż Semi-ko szczenioliwa, ukochanem była dzieckiem bogobojnego rodzica.

Tymczasem syn najstarszy w studenckiej już chodził czapce i o Ameryce marzył, zaś siostrę za mąż wydawać miano za kupca, nieodpowiednio dla córki kapłana, cóż kiedy tak dużo dzieci!... trudna rada!...

Semi-ko wciąż jeszcze wolna, jak ptak, splatała i rozplatała warkocze, łapała motyle, ze złotymi rybkami igrała w małej sadzawce i pieśni śpiewała długie, żalosne o... ja kimś zórawiu.

Aż dziwne, bo właściwie nigdy zórawia nie widziała, a tak bardzo w upalne noce tęsniała, że aż wysuwała się cichutko z rodzinnego domu, by zgnać w cieniu drzew obbrzymów, strażników, okalających poważnie miejsce święte.

Raz — a było to późną jesienią, idąc tak, zabłądziła w lesie i nagle znalazła się nad wodą. Jakies źródło podплыnęło i wyszła z niego stara bardzo kobieta. Rozkazała Semi-ko iść za sobą. Spłoszona dziewczynka, lecz przywykła do ślepego

posłuszeństwa, uległa. Aż doszły obie do starych grobów, gdzie urny z kościami przodków się przechowywały.

Stara palcem wskazała na wieko jednej z nich, zczerniałych od starości i rzekła:

— Tu pochowany jest mój wnuk wraz z prochem prarodzców...

Semi-ko rękawem kimona zakryła wystraszone oczy, a stara prawiała dalej:

— Sama jestem na świecie i szukalam daremno, komu przekazać imię i majątek, widziałam Cię podczas całopalenia i wybrałam za towarzyszkę mej samotności.

Semi-ko zrobiła krok w tył, ażeby uciec od tego dziwnego głosu, co nowy los jej wieścił, lecz stara schwyciła ją za rękę mocno, kości stemi palcami i posadziła do czołna.

O świecie znalazły się obie w przepysznym domu, lecz tak samotnym, jak ów zóraw, o którym Semi-ko pieśni tkliwe nuciła.

Kapłan, po dłuższym wahaniu, zgodził się na oddanie córki, choć matka co noc zalewała łzami twarde wezgiłowie**).

Dom starej wiedźmy był duży i wspaniały, lecz tak pusty i zimny, jak jego właścicielka. Ta, gderliwym głosem napędzała Semi-ko do książki, do roboty i nauki, nigdy nie pozwalając jej śpiewać.

Aż kiedyś, późnym słotnym wieczorem, Semi-ko wracała ze szkoły pośpiesznie do domu. Wysokie słoneczniki — chodaki grzęzły w osłizgłym błocie, jak w masie z „si-ruko**). Wzornysty, papierowy parasol, kręcił się na wietrze, a oczy zmęczone, ciągle ślęczeniu nad książką, mrużyły się sennie.

Potknęła się dziewczynka, gdy czyjeś mocne ręce pomogły jej i uniosły ponad kałużę. Wprawdzie stołeczki obsunęły się i spadły, lecz za chwilę już siedziała na jakimś kamieniu, a młody wybawca pomagał jej z powrotem włożyć ciężkie „geta“.

**) Poduszki japońskie zwane „makura“ są twarde.

***)) Masa z fasoli.

Spłoszona i zawstydzona, dziękowała, nie śmiejąc podnieść oczu.

— Ja jestem skromnym człowiekiem, a paniąka pewno z wielkiego domu — wyrzekł nieznajomy.

— Nazywam się Semi-ko — o! powiedziała — przybraną jestem córką starej Hakasami.

— Ja nie tutejszy, paniąko, nie znam nikogo — tylko oczu sobie wypatrzył, jak to paniąka co dzień tą drogą chodzi.

— Do szkoły i ze szkoły — objaśniła Semi-ko.

— Tak, tak, szkoła jest dobra, jak kto się w niej uczyć może... — westchnął w zamyśleniu.

Spojrzała na niego ciekawie.

— No tak — ciągnął dalej — mnie z mego wypędzono kraju, bo się uczyć tam nie mogłem...

Spojrzała po raz drugi, przerażona.

— A tak, ja z tej przeklętej krajiny, gdzie w Boga przestałam wierzyć, — ja Go jednak noszę w sercu i rozstać się z Nim nie mogę i nie chcę, — więc tu przyjechałam. Zórawiem i Samotnikiem zowią mnie tutejsi koledzy, u których garnarstwa się uczę...

— Zórawiem??

— No tak, zórawiem i samotnikiem... Zabawne, prawda?

— Niemnie, tylko tak smutnie i tak prawdziwie...

— Jakto prawdziwie? Skąd paniąka wie?

— A bo ja od dzieciństwa o zórawiu myślę.

Spojrzał na nią zdumiony, a ona w kwiat płomiennej piwonji się zamieniła i zabierała się do szybkiego odwrotu.

— O, poczekaj — zawołał pośpiesznie — nie bój się, ja ci coś chcę podarować.

I gwałtem wsunął jej do ręki jakiś zwitek.

Pobiegła zdyszana i dostała się do domu, gdzie u samotnego stolika czekała na nią groźna stara.

— Odkąd to, Semi-ko, po nocy się włóczysz?

— Wybacz, obasama****) — egzamina...

— O tej porze?! Telefonowałam, dawno się już skończyły.

****) Opiekunka.

*) Mały, ciągniony przez szybkobiegacza, wózek japoński.

— Szaruga, drogi nie widać, wolno się idzie.

— A to co?

— Nie wiem.

Stara schwyciła tajemniczy zwitek i wypadły z niego dziwne jakieś malowidła, — wszystkie przedstawiały żórawia.

— To wnuk mój malował — krzyknęła stara Skąd to masz?...

— Dano mi...

— Kto?

— Jakiś samotny cudzoziemiec...

— Zabili go, zabili — jęczała stara — za szpiega go wzięli, ledwo kości wydostałam...

Przerażona Semiśko myślała, że stara oszalała, lecz wiedźma, jakby do siebie, mówiła dalej:

— W kraju, gdzie niema Boga, zabili go, bo wciąż malował, a oni myśleli, że szpieguje...

Całą noc przesiedziała Semiśko i jakieś dziwne majaki ją otaczały. Dowiedziała się, że wnuk jej opiekunki wyjechał był ongiś do zimnego kraju, gdyż malarzem był żadanym wrażeń i tam go zabito, a kości przywiózł samotny poeta, pielgrzym. A gdy stara dowiedziała się o wydarzeniu słotnego wieczoru, zacisnęła bezzębne wargi, szeptała coś, szeptała, a na drugi dzień oznajmiła dziewczynce, że nie czekając końca egzaminów, zabiera ją ze sobą do kraju górskiego jej dziadków, i że tutaj nigdy już nie powróci.

Semiśko pakowała się i błagała starą, by raz jeszcze do szkoły i do rodziców pozwoliła jej pójść, lecz nie było można przeprzeć starczego uporu i zaciętości.

Z jakimś dziwnym nieznanym bólem w piersiach patrzyła Semiśko na przygotowania do dalekiej podróży, gdy nagle... zaczął coś w gałęziach ogrodu, zagrało, jakby ktoś po strunach maleńkich skrzypiec smyczkiem pociągnął żalostnie.

Semiśko wśród listowia ujrzała towarzysza lat dziecińczych — świerszcza, grajka nad grajkami. Wzięła go, do serca przycisnęła i wsunęła w małą klateczkę; a wraz z pożywieniem na dół kilka, włożyła też mały zwitek z napisem:

„Semiśko samotnemu żórawiowi“.

Poczem powiesiła klatkę między gałęzie... Odjechała Semiśko, łzami zalana w wysoki górski kraj.

A w kilka dni potem przechodził koło jej ogrodu garncarz. Samotny Żóraw, i usłyszawszy żalostny jęk świerszcza i spostrzegłszy klateczkę, otworzył ją i wypuścił owada.

A gdy ten wylatywał, uwolniony, wypadł na ziemię zwitek maleńki z serdecznym, tajemniczym wyznaniem.

Podniósł go młodzieniec jak taizman mistyczny, umieścił w tej samej klatce i przyozdobił nią wejście do cichego warsztatu swej codziennej szarej pracy.

Co wiosnę zapraszał na czas po wien do klatki tej maleńkiej jakiegoś, dzwonowego świerszczyka złozonego w lesie. I tak jękliwie świerszcze druchem mu było podczas

długich letnich dni pracy, — daleką bajką nigdy niezaznanej miłości.

Stąd nazwali koledzy brzękliwego w klateczce owada — narzeczoną garncarza, a jego (Żórawia Samotnika) — oblubieńcem Semi.

A w górach dalekich umarła już dawno wiedźma stara, a wnuczka jej przybrana, piękna Semiśko, za mąż wyszedłszy, dzieci swe usypiała w długie zimowe wieczory pieśnią... o „Samotnym Żórawiu“.

Stefanowa Łubieńska.

KOLENDA

Hej! Zbierajcie się pasterze

Biec, gdzie jasna droga,

Sercem witac witac szczerze,

Ze śpiewkami z przygrywką

Dzieciąteczko Bogal

Hej! Radujcie się ludziska

Tej świątecznej nocy!

Niech wam gwiazdka szczęściem błyska!

Od Dzieciątka, od Paniątka,

Czerpcie życia moc!

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię...

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię,

Na smutny, nędzny świat, —

To był biedutki, jak śnieżny kwiat

Główkę malutką, główkę biednutek

Na wonnym słonku kładł...

Kiedy Pan Jezus przyszedł do ludzi,

By zbyc ich grzechów, wad —

To odbłask światła na śniegi padł...

I promień gwiazdy z niebieskiej jazdy

Wsruszeniem zbladł...

Kiedy Pan Jezus przyszedł na ziemię,

Tysiące temu lat...

Z ludźmi się zrównał, jakby ich brat;

Patrzył ze smutkiem oczkiem malutkiem

Na wielki, zimny świat...

JADWIGA KWIECIŃSKA.

Wśród pism i książek

Leopold Staff: UCHO IGIELNE,
Warszawa, 1928. Nakładem Jakóba
Mortkowicza „Pod Znakiem Poetów”.
Serja nowa.

Poraz drugi w tak krótkim czasie ma-
my sposobność wyrażenia szczerego u-
znania wydawcy za wyjątkową i nie-
zmordowaną jego działalność w druko-
waniu wybitnych dzieł rodzimej poezji.
Mimo ostrzeżeń, których z pewnością
niejednokrotnie słucha, iż „poezja nie
jest dziś artykułem księgarskim”, po-
dziwialiśmy już 18 tomów pięknej serji
„Pod znakiem poetów”, a staranne wy-
konanie graficzne i przede wszystkim
doskonale dobór utworów, wróży wy-
dawcy dalsze ppowodzenie.

Powszechnie ustalona opinia o Leo-
poldzie Staffie, jako o największym po-
ecie doby współczesnej jest zresztą w
danym wypadku najważniejszym argu-
mentem, którego pozazdrościć mu mo-
ga inne firmy, a zwłaszcza jeśli mowa
o tak cennym zbiorze liryk, jakim jest
„Ucho igielne”.

„Ucho igielne”, a więc ucho, przez
które łatwiej jest przejść wielbłądowi,
niżli bogaczowi przez bramę niebieską,
jest niezmiernie trafnym dla tej książki
tytułem.

Po długiej tulaczce na drodze życia,
po uciążliwej walce ze wszelkiego ro-
dzaju zwątpieniami, wytknął sobie wre-
szcie poeta linię, która go zawiedzie do
Królestwa pokoju i miłości pod opiekun-
czem skrzydłem Boga.

Trawy, które mi wiatr cicho kolebale,
Śmieją się ze mnie, wiedząca i zdrowe,
Żem wieczność w Tobie odpychał od siebie,
Jakbym chciał duszę swą skrócić o głowę.

Wszystko się śmieje ze mnie, że Twą chwałę
Pragnąc poniżyć, rozwiad w ulud dymie,
Pisałem z głupią pychą przez b małe
Wielkie, potężne Twoje Boga imię.

Szukałem ciebie w chmurach, na niebiosach
I na tej niskiej, pełnej grobów glebie
I dzisiaj widzę, w radosnych łez rosach,
Że Bóg był bliższy mnie, niż ja sam siebie.

I wiem to jedno, że gdy mnie ułożą
Na sen wieczysty, żmudnego pielgrzyma,
Natenczas ujrę wieczną światłość Bożą
Zamkniętymi na wieki oczyma.

Piękny ten akord jest logicznym fi-
nałem do poprzednio śpiewanych przez
poetę liryk, płynących z głębi szamoczą-
cego się w walce Genjusza, którego dziś
jednak żadne inne natchnienie zado-
wolnić nie potrafi, jak tylko jedyna pra-
wda, zaklęta w tajemnicy nauki Chry-
stusowej i cicha pokora ducha.

„Jam jest Prawda, co w mroku najgłębszym
[się] chowa.
Niechaj odwieczna wasza modlitwa się ziści.
Jam jest, która zagadki nic z przeszli swego snowa.
Kto mnie wybierze, będzie, jako drzewo z liści
Odarłe i przez śpiewne opuszczone płaciwio.
Próżen marnego zysku i blahę korzyści.
Kto pójdzie za mną, rzuci piękność i bogactwo.
Zaszczyty, cześć, ozdoby, stroje, pełne skrzynię

I obmierźnie mu rozkosz i sława i władztwo.
O, pójdźcie co mnie, Prawdę, kochacie jedynie,
Nie pragnący nic nadto bym była wam Panią!
Wstąpcie w mą bezkorzystną, przeczystą swiatłyńię

Bo jeśliś żebrak nawet i dadzą ci
wszystko, czegośkolwiek ciało zapragnąć
może, to najsilniejszym w nas dąże-
niem jest wieczne pragnienie Pana, ja-
kie widzi poeta na drodze życia, którą
już przebył.

Aż Pan wyszedł sam zniecierpliwiony:
„Masz mnie, duszo, natrętnie oddana”...
I zamknął szczęsnymi zamiany
Niby w domu moim, mego pana.

Szczęśliwy poetol! Dobieś wreszcie
do portu i śpiewać możesz w spokoju,
którem dziś przepojone jest serce Two-
je:

Wieczór po pracy chyli moje czoło,
Jak o zmierzchu wiew drzewa kołysze,
Dzięki ci, Panie, za ten smutek wkoło
I za tę wielką w swoim sercu ciszę.

Radość ma ciężka jest, jak bryły złomu
Skalnego, które człek znosi powoli
Z trudem, na mocną podwalinę domu,
By w nim zamieszkał z Tobą, po niewoli.

Na końcu tej pięknej książki, pod ty-
tułem „In Memoriam”, czytamy epita-
fja, poświęcone tym wielkim, co nas
już odeszli, Wyspiańskiemu, Kaspro-
wiczowi i Żeromskiemu.

Zawarli się śpiżowe drzwi,
Zapadły wieczne wrota,
A śmieć, niszcząca żywot dła
Zwiększyła skarb żzwota.

Boy-Zeleński: PLOTKI, PLOTKI...
Warszawa 1928 r. Nakładem Insty-
tutu Wydawniczego Biblioteka Polska.

„— Sądzę, że w jakiegokolwiek formie
i na jakimkolwiek polu działania po-
zostanę ten sam i dlatego zawsze się
będą odzywały echa owej pierwszej o
mnie „recenzji”. W dniu, w którym
głupcy przestaną wymyślać, pomyślą
sobie, że źle jest ze mną.

Takimi słowy zakończył świetny pi-
sarz polski wywiad do naszej serji „Z
mojej kariery” (p. N. 37 z dn. 23 listo-
pada r. b.), mając na myśli te różno-
dne opinie, które stale towarzyszyły
jego działalności na polu literatury.

W ciekawym tomie p. t. „Plotki, plo-
tki...”, który wyszedł z druku, jako
zbiór artykułów na różnorodne tematy,
autor postawił tym razem krytykę w
nader kłopotliwym położeniu. Bo jakże
atakować w określonym kierunku, ja-
kże nawet wypowiedzieć pochwałę, kie-
dy czytelnik zmuszony jest przejść za
autorem od miodowego miesiąca Marji
eLszczyńskiej, przez romans Ninon de
Lanclos, do rozpatrywania światopoglą-

du Conrada, przez „plotki językowe”
o patosie stylu i o prawidłach inter-
punkcji, do oryginalnej analizy o Mico-
kiewicz i Słowackim w opinii publi-
cznej, przez wspomnienia wreszcie o „Zie-
lonym baloniku” i Cyganerii Krakow-
skiej, do gawęd o Balzaku...

W labiryncie tym odnajdujemy wyso-
kie walory, które przebijają z każdego
z artykułów, bo jakże mogłoby być ina-
czej, skoro widnieje na nich świetna
faktura, jaką daje nazwisko Boya.

A jednak, skromnem zdaniem na-
szem, dla wielu względów nie należało
skupiać w jednej książce tak mnogich i
różnorodnych tematów, co w znacznej
mierze utrudnia przede wszystkim osią-
gnięcie jednolitego wrażenia.

Niezwykle płodna działalność pisar-
ska Boya pozwoliłaby mu z pewnością
na dodanie do każdego z poszczegół-
nych typów artykułów dostatecznego
materiału dla stworzenia kilku oddziel-
nych tomów: jeden z nich miałby, na-
 przykład, charakter historyczno-ane-
gdotyczny, podobny do studjów, trze-
ci anegdotyczny i t. p.

Szkoda.. wdzięczni bądźmy jednak i
za to, większość bowiem rzeczy Bo-
ya wychodzi dziś wyłącznie na łamach
jednego z organów prasy stołecznej co
w znacznym stopniu utrudnia należyte
rozpowszechnienie wśród szerokich
sfer czytelników.

**MUZYKA POLSKA, monografia zbior-
rowa pod redakcją Mateusza Glińskiego,**
Warszawa, nakładem miesięcznika
„Muzyka”.

Bodajbyśmy wszyscy mogli wydawać
takie „specjalne numery”, jakim jest
ta ciekawa i cenna monografia zbioro-
wa, wydana przez miesięcznik „Muzy-
ka”. Bo „specjalny” numer ten jest tyl-
ko o tyle, że w zwykłej swej treści re-
dakcja „Muzyki” musi wciąż postępować
z biegiem faktów bieżących i być
ich sprawozdawcą, a zarazem światłym
krytykiem. W „specjalnych” numerach,
których pierwsze witamy obecnie, re-
dakcja „Muzyki” podaje siedem artyku-
łów, opracowanych przez najlepszych
autorów, a więc: rzecz „O polskim sty-
lu muzycznym”, przez H. Opieńskiego,
„Dzieje muzyki polskiej do XVII w.”
przez A. Chybińskiego, ks. dr. H. Feist
opracowuje temat o „Polskiej muzyce
religijnej”, S. Barbag — o „Polskiej pie-
śni artystycznej” i t. d.

Staranne wydanie „Muzyki polskiej”
rokuje tym specjalnym numerom naj-
lepsze powodzenie.

Wydawca: Spółka wydawnicza „Rzeczpospolita”.

Redaktor: Eugenjusz Rafalski.

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona”, Warszawa, Nowolipie 2.

Z redakcyjnego biurka

M Dąbrowskiej. Żałujemy bardzo, iżśmy zasłużyli sobie na tak surową krytykę. Przypuszczamy jednak, iż, po namyśle, raczy Pani przyznać, że nie koniecznie w każdym utworze stwarzane są typy, co jak wspólny mianownik zastosować się dadzą do każdego miejsca i każdego ugrupowania społecznego. W tece redakcyjnej posiadamy tak wiele rzeczy, które świadczą o tak wysokich walorach społecznych autorki, iż ani na chwilę nie przypuszczamy, by powodowała się jakąkolwiek złośliwą intencją względem szerokiego ogółu. Zbieg okoliczności, poprostu, który z pewnością zechce jej Pani wybaczyć.

Basi. Niech żyje kaligrafja — wstępną zecerzy na widok Pani rękopisu. Nowelkę odszukamy.

„Babusiowi“. Uregulowane do 1-go stycznia.

FRAGMENT FABRYKI TRYKOTAŻY JAN MATUSZEWSKI



40 Nowy Świat 40

SKŁEPY WŁASNE

154 Marszałkowska 154

33 Chmielna 33

PRENUMERUJ CIE DLA DZIECI!

PRENUMERUJ CIE DLA DZIECI!

KSIĄŻKI RÓŻOWE i KSIĄŻKI BŁĘKITNE

TOM W OPRAWIE W PRENUMERACIE ZŁ. 1.—

KTO DBA O WYCHOWANIE DZIECKA, NIE POWINIEN SKĄPIĆ NA DOBRE I POŻYTECZNE KSIĄŻKI

Adres Redakcji: WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 9, Skrzynka pocztowa No 723.

Jak zachować świeżą i piękną cerę!



Każda z Pań pragnęłaby zawsze wyglądać świeżo i pięknie. Niema w tem nic dziwnego, że Panie starają się powstrzymać okrutne działanie czasu. Używają w tym celu różnych środków. Musimy wszakże przestrzec Was, Nadobne Czytelniczki, żebyście były bardzo ostrożne w swoich zabiegach odmładzających. Tylko poważna fabryka potrafi dać Wam artykuł wypróbowany i naprawdę skuteczny, ponieważ wytwarza go pod kierunkiem najlepszych lekarzy-specjalistów. Takim właśnie środkiem jest „Płyn-SIMI” — Berlińskiego Laboratorium Kosmetycznego. „Płyn-SIMI” usuwa zużyte soki z naszej skóry i powoduje wzmożony dopływ świeżej limfy z głębszych tkanek podskórnych, przez co skóra nasza bardzo szybko ożywia się i odmładza, giną wszelkie fałdy, zmarszczki, węgry itp. „Płyn-SIMI” można polecić jako preparat, istotnie pierwszorzędnej wartości. Dr. R

Do nabycia w składach aptecznych i perfumerjach. Cena flak. zł. 5.50. Generalne przedstawicielstwo na Polskę: Zakł. przem.-chem. farm. „PROTON”, Warszawa, ul. Św. Stanisława, 9 — 11, tel. 203-34

Drobne Ogłoszenia

BOŻE NARODZENIE spędzisz wesoło, wypisując kolekcję ciekawych sztuk magicznych za zł. 5. — Warszawa, ul. Solec 48, m. 9, W. Janiszewski.

OSTRZEŻENIE! Imienna akcja Banku Polskiego, Romana Stochla, grzecznościowo pożyczona w sierpniu 1925 r. Wład. Jasinowskiemu, b. nauczycielowi w Dobromyślu, obecnie zamieszkalemu we Lwowie, dotychczas nie została zwrócona. Ostrzegam przed jej nabyciem, gdyż jest moją własnością. R. Stochel, kier. szkoły pow. w Dziewiątkowcach.

ZACZEKAJCIE **na nowy samochód** **FORD**

który jest uosobieniem:

Szybkości
Akceleracji
Elastyczności
Piękności
Komfortu
Wytrzymałości

ukaze się wkrótce

Informacji udzielić może tylko Przedstawicielstwo

Lincoln **F O R D Fordson**

Auto-Traktor

WARSZAWA, Ossolińskich 4

TEL. 70-19 i 226-51.

Oryginalne części zamienia Ford.
Akcesoria w wielkim wyborze stale na składzie.